MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 38. WARSZAWA, 15 WRZEŚNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

„NIEZNANE"

HISTORYK polskich czasów nowszych stwierdzi z łatwością twórczą i przodującą rolę obozu narodowego w kształtowaniu myśli polskiej w sprawach publicznych. Przed kilkudziesięciu laty wszystko u nas płynęło na modnej fali ideałów wszechludzkich i międzynarodowych i dopiero nasz obóz, oparłszy się na jedynie pewnym gruncie narodowym, wystąpił z żywemi i płodnemi koncepcjami politycznemi. Zdawali sobie z tego sprawę inteligentniejsi przeciwnicy i pamiętam odezwanie się jednego z wybitnych dawnych przywódców ruchu socjalistycznego, znanego z prac architektonicznych Kazimierza Mokłowskiego, gdy zwracając się do „wszechpolaków" mówił, iż „trzeba wam to przyznać, że pierwsi wysunęliście polską rację stanu jako podstawę programu politycznego". Wiele z tych wszechpolskich koncepcyj weszło dziś w powszechnie uznane *credo* obywatelskie i niejeden jego wyznawca zdziwiłby się niepomiernie, gdyby mu tak wykazać, że rodowód jego wierzeń wywodzi się z prac znienawidzonych pisarzy endeckich.

Najmniej może szczęścia miała owa podstawowa polska racja stanu. Przejęto ją napozór również w obozie naszych przeciwników, ale raczej z opuszczeniem przymiotnika. Oddaje się cześć, niekiedy nawet wygórowaną, ale tylko „racji stanu", która tak ogołocona doprowadza do usuwania narodu na drugi plan.

Od wielu już lat polska myśl narodowa szukając rozwiązania zadań gospodarczych i celów do jakich w ustroju ekonomji narodowej dążyć należy, przeciwstawiać się zaczęła panującym prądom industrjalizacji i oparła się na koncepcji drobnego gospodarstwa i warsztatu jako najodpowiedniejszej i zapowiadającej największe korzyści moralne i materjalne w rozwoju narodu. Myśl ta zaczyna się szerzyć i znajduje zwolenników i w innych obozach, aczkolwiek tam bywa popierana innemi argumentami.

Niech będzie i tak. Nic nie mamy przeciw temu. Ostatnio sanacyjna „Gospodarka Narodowa" w artykule p. t. „Społeczno-gospodarcze perspektywy mocarstwowości" dochodzi do przekonania, że brak u nas warunków do dalszego uprzemysłowienia, jakie odpowiadałoby potrzebom, i że trzeba szukać rozwiązania na innej drodze i że nasza polityka gospodarcza powinna „w sposób radykalny" stwarzać warunki rozwoju dla drobnego przemysłu i rzemiosła, gdyż jedynie drobny przemysł, rzemiosło i drobne rolnictwo mogą zapewnić Polsce rozwój, konieczny do osiągnięcia, czy utrzymania stanowiska mocarstwowego.

Pogląd ten nie znalazł oczywiście uznania w kołach wielkiego przemysłu i organ t. zw. Lewiatana „Przegląd Gospodarczy" pisze z tego powodu: „Kroczeniu po udeptanych może, ale zato pewnych ścieżkach, jakiemi od stu lat posuwają się kraje przemysłowe, przeciwstawia się planową organizację sielanki drobnych posiadaczy. Zamiast podróży w określonym kierunku mamy odbyć podróż w n i e z n a n e (podkr. nasze). Ma to być podróż przyjemna, z tą tylko wadą, że niewiadomo, gdzie trzeba będzie wysiąść i w jakiej wysokości zapłacić rachunek kosztów.

Nie zamierzamy tu polemizować zasadniczo z poglądem organu wielkiego przemysłu, mimochodem zwrócimy tylko uwagę na to, że twierdze-

nie, jakoby drogi, jakiemi od stu lat posuwają się kraje przemysłowe, były pewne, jest conajmniej śmiałe. Autor pisze to sobie spokojnie, jakby nie wiedział nic o tem, co się dzieje w krajach przemysłowych, jakie tam robi się kosztowne, a mało skuteczne wysiłki w celu zmniejszenia armji bezrobotnych i t. d. Chodzi nam w tej chwili o co innego. Mianowicie o podkreślenie tego, że dążenie do ustroju opartego na drobnem wytwórstwie rzecznik wielkiego przemysłu nazywa podróżą w „nieznane".

Jest to zwrot bardzo charakterystyczny dla typu umysłowości dziś dość szeroko rozpowszechnionego. Historja ludzkości zaczęła się przed stu laty, gdy kraje przemysłowe wkroczyły na dzisiejszą drogę. Co było przedtem, nie wiemy, jest nieznane. Te jakieś głupie parę tysięcy lat, w ciągu których panowała drobna wytwórczość, to jest nic, nie możemy z tego okresu wyciągać żadnych wniosków, ani wskazówek; miarodajny jest jedynie stuletni okres, następujący po, dajmy na to, wynalezieniu parowej maszyny, okres wywłaszczenia wielkich mas, wytworzenia zastępów proletarjatu i skupienia bogactw w mniej licznych rękach.. O tem coś wiemy, inne sosunki są nietylko nieznane, ale nawet nie warte poznawania. Jest to dobitny objaw braku humanizmu w dzisiejszej ocenie zjawisk cywilizacyjnych, o którym tak mądrze mówi F. Koneczny w swej pięknej książce „O wielości cywilizacyj".

Na szczęście te „pewne drogi" wielkiego przemysłu kończą się w ślepych uliczkach i to uzdrawia również ogólniejsze poglądy na rozwój cywilizacji.

Z. R.

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

W DOBIE OBECNEJ

TRZECI rozbiór Polski, dokonany w 1795 roku przez cesarstwo niemieckie, Prusy i Rosję, wykreślił Rzeczpospolitą z szeregu niezależnych państw europejskich na przeciąg czasu stu dwudziestu trzech lat. W okresie tym, zwanym okresem niewoli, wystąpiły dobitnie dwa zjawiska: wypaczenie polskiej myśli politycznej i zmiana warunków ekonomicznych. Obydwa zjawiska odbiły się bardzo wydatnie na naszych dążeniach morskich.

Polska myśl polityczna jeszcze od czasów 1-go rozbioru była zasuggestjonowana wielkością obszarów, które odpadły do Rosji, i prawie wcale nie zwracała uwagi na te ziemie, które stały się łupem cesarstwa i Prus. Ponieważ Romanowowie po trzech rozbiorach i Kongresie Wiedeńskim (1815 r.) uzyskali 81% całego terytorjum Rzeczypospolitej, a Habsburgowie 10,8% i Hohenzollernowie tylko 7,6%, przeto w umysłach przeważającej większości polityków polskich i idącego za nimi myślącego ogółu Rosja stała się prawie jedynym wrogiem. Znalazło to swój wyraz zarówno w obu powstaniach XIX stulecia, jakie przeciwko Rosji wybuchnęły w 1830 i 1863 roku, jak w t. zw. ruchu niepodległościowym, zapoczątkowanym w latach 90-ych ubiegłego wieku, a rozwijającym się gwałtownie w okresie rewolucji rosyjskiej 1905 r. i dochodzącym do szczytu podczas Wielkiej Wojny Światowej. Ta myśl polityczna dążyła do wskrzeszenia Polski w drodze oderwania od Rosji zagarniętego przez Romanowów terytorjum dawnej Rzeczypospolitej i utworzenia z tego terytorjum bądź samodzielnego państwa (koncepcje obu powstań i program Polskiej Organizacji Wojskowej z 1917 r.), bądź państwa z ograniczoną samodzielnością (koncepcja austrofilska z przed Wielkiej Wojny, polegająca na przyłączeniu zaboru rosyjskiego do monarchji habsburskiej, przekształconej na państwo trialistyczne, i koncepcja prusofilska, powstała podczas Wielkiej Wojny, a polegająca na włączeniu do Rzeszy Niemieckiej ziem zaboru rosyjskiego w postaci państwa z jedną z dynastyj niemieckiej na czele, saską lub pruską).

Zabór rosyjski obejmował około 600.000 klm. kw., lecz do 90% ludności polskiej znajdowało się w jego zachodniej części, t. zw. Królestwie Polskiem, która zajmowała jedynie jedną piątą całego zaboru, a na pozostałych czterech piątych ilość ludności polskiej wahała się od 4% (Ukraina) do3% (Grodzieńszczyzna). Coprawda, Polacy ze wschodniej części zaboru rosyjskiego, ustępując tubylczej ludności, Litwinom, Białorusinom i Rusinom ilościowo, górowali nad nią jakościowo pod względem kulturalnym i ekonomicznym, stanowiąc bogatsze sfery w miastach i będąc większymi właścicielami na roli. W każdym razie jednak ludność polska na ziemiach zaboru rosyjskiego nie dochodziła do połowy ogólnej ilości mieszkańców tego zaboru.

Wskrzeszona zatem w postaci oswobodzonego zaboru rosyjskiego Rzeczpospolita byłaby odrazu państwem o wielkim odsetku nie-Polaków, innemi słowy, Polska, składająca się z ziem, które zagarnęli Romanowowie, byłaby budowlą o mieszanym materjale budowlanym, co, jak wiadomo, nigdy nie rokowało i nie rokuje trwałości. Tu dodać należy, że ten sam wiek XIX, w którym tak zakwitła polska myśl polityczna, budująca wskrzeszenie Rzeczypospolitej na walce z Rosją, dawał jednocześnie świadectwo coraz większemu triumfowi koncepcji państw jednolitych pod względem narodowym. Wojny Napoleońskie wysunęły tę koncepcję i zaczęła się ona realizować w drugiej połowie XIX stulecia, dając zjednoczone Włochy i Niemcy oraz oswodzone a jednolite państwa Bałkańskie. Polska myśl polityczna nie szła z ogólnym prądem, a przeciwnie, szła w odwrotnym kierunku. O tem, że na 80.000 klm. kw. zaboru austrjackiego Polacy stanowili zwartą masę w zachodniej połaci (Krakowskie), a dochodzili do 50% we wschodniej (Lwowskie) i że na 55.000 klm. kw. zaboru pruskiego ludność polska liczyła 90% w Poznańskiem, a do 40% na Pomorzu, mało kto się zastanawiał. Zabór rosyjski, wobec swego obszaru, stanowiącego cztery piąte Polski przed-

rozbiorowej, dominował nad wszystkiem i przesuwał środek ciężkości dążeń polskich coraz bardziej na wschód. Oczywiście, przesuwanie się tego środka ku wschodowi stanowiło automatycznie cofanie się od zachodu, a *eo ipso* od Bałtyku.

Drugie z kolei zjawisko, z jakiem się spotyka w okresie niewoli, jest zmiana warunków ekonomicznych. Polska przedrozbiorowa, stanowiąc samodzielny organizm polityczny, była jednocześnie samodzielnym organizmem ekonomicznym. Było to państwo rolnicze, wywożące nadmiar swych produktów rolnych, przedewszystkiem zboża, a dążące do uruchomienia przemysłu prawie wyłącznie na swoje potrzeby. W okresie Sejmu Czteroletniego rolnictwo zaczęło się zbliżać do „złotego wieku" ostatnich Jagiellonów, a przemysł zaczął rugować przywóz fabrykatów zachodnio-europejskich.

Upadek Rzeczypospolitej, łamiąc ustrój polityczny, złamał i ustrój ekonomiczny. Ziemie polskie weszły w skład trzech państw rozbiorczych. Pierwsze dwa z nich, t. j. przekształcona z cesarstwa niemieckiego Austrja i Prusy, stawały się zwolna państwami przemysłowemi, a trzecie, t. j. Rosja pozostawało nadal krajem rolniczym ze słabo rozwijającym się ruchem przemysłowym. Wszyscy trzej zaborcy pragnęli, rzecz prosta, osiągnąć z ziem polskich jaknajwięcej korzyści. Wobec tego rozwijające się przemysłowo Austrja i Prusy przeznaczyły nabytki polskie pod uprawę rolnictwa w dalszym ciągu nie chcąc sprowadzać artykułów rolniczych z zagranicy, a rolnicza Rosja popierała w zagarniętem Królestwie Polskiem ruch przemysłowy, otwierając dlań swe rynki zbytu nad Wołgą i na Syberji. Ziemie polskie zatem, zajęte przez Habsburgów i Hohenzollernów, zostały nastawione na rolnictwo, przyczem wszelkie próby uprzemysłowienia były na nich pieczołowicie tępione, a ziemie, które przypadły w udziale Romanowom, miały, odwrotnie, popierany przemysł, co się zaś tyczyło rolnictwa, to starano się je również skierować w stronę uprzemysłowienia (cukrownictwo). Pozatem rząd petersburski, działając specjalnie przeciwko warstwom oświeconym, dążył systematycznie do stopniowej likwidacji większych i średnich majątków ziemskich, sprowadzając przez to zbożową produkcję rolniczą do opędzania potrzeb miejscowych. W ten sposób zabory austrjacki i pruski dostarczały zbóż na użytek innych prowincyj Wiednia i Berlina, a zabór rosyjski wysyłał swe fabrykaty białostockie, łódzkie i warszawskie nad Wołgę, na Kaukaz, do Turkiestanu, na Syberję i nad Ocean Spokojny.

(D. c. n.) WITOLD HUBERT

Z DZIEJÓW POWIEŚCI WARSZAWSKIEJ V

ASPAZJA

Żmichowska pisała „Pogankę" dwa razy. — Jak to było przy kominku? — Historja „Wstępnego obrazka". — Pierwowzór Aspazji. — Pojedynek dwu kobiet. — Wiedźma z oczyma z malachitu. — Benjamin ofiarą.

I

W LIŚCIE do p. Heleny Turnowej z d. 30 grudnia 1846 r. Żmichowska pisze:

„Niedawno skończyłam od bardzo dawnego dawna zaczętą „Pogankę", ale bo też tak mnie przypilnowali, że sobie rady dać nie mogłam. Musiałam kończyć pod utratą honoru i, co więcej znaczy, pod groźbą zaszkodzenia pismu, którego redaktorowa jest moją bardzo kochaną" [1])...

Ową redaktorową była żona Hipolita, Anna Skimborowiczowa, ta, o której wspominałem w pierwszym rozdziale, że Żmichowska wahała się, jak ją nazywać: aniołem, czy świętą. Wiemy skądinąd, że Skimborowiczowie wprowadzali w świat literacki młodego Norwida wówczas kiedy byli wydawcami „Przeglądu Warszawskiego" i „Piśmiennictwa Krajowego". We wstępnym obrazku do „Poganki", o którym niżej będzie mowa, występuje między słuchaczami tego opowiadania przy ogniu kominkowym młody (z tych właśnie czasów) Norwid pod mianem Edmunda.

W tej chwili interesuje nas ten szczegół z listu, że Żmichowska dopiero w g r u d n i u 1846 r. nagwałt kończyła „Pogankę". Przed rokiem pisała do tejże Turnowej: „Tobie chciałam koniecznie na gwiazdkę przesłać egzemplarzyk mojej powieści, ale nie wyszła jeszcze i sama nie mogę z pewnością oznaczyć, kiedy wyjdzie" [2]). A dalej w tymże liście zapowiada, że „Przegląd Naukowy" będzie teraz drukował powieść B. Moraczewskiej, „a potem zaraz tuż w jej ślady ja, z czem będę mogła, podążę"... Z tego widać, że w r. 1845 „Poganka" nie była jeszcze napisana, a jeśli była, to ją autorka w r. 1846 przerabiała, czy dorabiała. „Przegląd Naukowy" zaczął ją drukować w czerwcu 1846 r. w nr. 18; ciąg dalszy ukazał się w nr. 19, ale dalsze rozdziały widocznie nie były jeszcze gotowe. Coś się zacięło, bo trzy zeszyty (20 — 22) minęły bez powieści. Widocznie początek, owe wspomnienia rodzinnej miłości, były „od dawnego dawna" gotowe, ale dalsza historja, wymagająca kompozycji, związana była z jakąś aktualnością. Autorka coś dorabiała. Po przerwie miesięcznej ukazała się „Poganka" w dwu zeszytach: 23 i 24, poczem znów nastąpiła przerwa krótsza, po nr. 26 dłuższa, bo aż do zeszytu 32. W ostatnim zeszycie (36) — koniec.

I to jest ważne dla dziejów „Poganki", jeśli ją będziemy traktowali jako dokument historyczny. Bo ona jest takim dokumentem, choćby ze względu na „Wstępny obrazek", w którym autorka sportretowała świat literacki sobie współczesny. Ta okoliczność pośpiesznego dorabiania owych części najważniejszych, jest też pewną wskazówką przy rozbiorze literackim utworu. Coś się zmieniło w poglądzie autorki na bohaterów: darzony zrazu jej sympatją Benjamin, staje się pod koniec przedmiotem tak ostrego potępienia, że w czytelniku budzi podziw, z jakiej racji znalazł się on w kółku najbliższem sercu autorki. Stwarza to poszlakę, że pierwotnie Żmichowska miała skoń-

[1]) „Listy N. Żmichowskiej i Z. Węgierskiej". Częstochowa 1935. str. 58.

[2]) Tamże. str. 45.

czyć powieść po pierwszym powrocie Benjamina do domu, skończyć zwycięstwem cnoty. Mam wrażenie, że dalszy ciąg od ucieczki Benjamina w gorączce, z ową topielą i niewolą był dorabiany i spowodował ową niekonsekwencję. A pisany był z pasją, której przedtem nie było.

Dorabiane są też widocznie całe ustępy w „obrazku wstępnym". Był on w planie powieści od początku, bo to widać z pierwszych rozdziałów i z tytułu, ale portrety, owa galeryjka osób, które nie były nigdy przy kominku Skimborowiczów, są wstawką późniejszą z r. 1846. W każdym razie wstępny obrazek pisany był nie potem (jak sobie niektórzy historycy wyobrażają), na użytek wydania zbiorowego pism Żmichowskiej (1861), lecz już w r. 1846 był wykończony.

Oznaczyć można ten czas dość ściśle, mianowicie o Henryku (Edwardzie Dembowskim) pisze jako o zmarłym i pisze wzruszona, jakby pod świeżem wrażeniem, a Dembowski zginął 27 lutego 1846 r., o Majorkiewiczu zaś, którego niedawno poznała, pisze jako o żyjącym. A ten zmarł w marcu 1847 r.[3]). Przypuszczam, jestem prawie tego pewny, że w tym czasie, wyżej oznaczonym, autorka dopisała charakterystyki osób, które rzekomo przy kominku opowiadania słuchały. Pierwotny wstęp był powieściowo jednolity, jako żywa scena; owa galerja portretów jest najwidoczniej wstawiona. Jeżeli weźmiemy przed siebie wydanie Bibljoteki Narodowej, to zobaczymy, że wstawka zaczyna się na str. 4 od słów: „Pamięć moja wiernie mi przechowała"... — i kończy się na str. 31 zdaniem: „Benjamin własną biografją rozpoczął zbiór swych (owych?) powieści"...

Gdy usuniemy tę galerję, która ciężarem swoim przytłacza budowę wstępu, pozostanie obrazek kominkowy ściśle dopasowany do powieści swoją treścią.

Dlaczego to zrobiła? Na co jej ta galerja była potrzebna? Z potrzeby serca? Zapewne. Może ktoś podsunął autorce myśl uwiecznienia w powieści pokolenia, które tutaj, w „Przeglądzie Naukowym" miało swoje ognisko, myśl zbiorowej fotografji. Robiło takie rzeczy ówczesne malarstwo — uwieczniało żyjących. Tak czy owak, to jest pewne dla mnie, że z powodu tej wstawki, której autorka nie chciała widocznie się wyrzec, doszło do odrzucenia z druku całego „wstępnego obrazka". Widocznie redakcja uważała, że trzeba uzyskać zgodę wszystkich portretowanych na publikację portretów. Tego nie można było osiągnąć w tak krótkim czasie. Jak to widać z późniejszego listu[4]) zgodzono się na to w kilkanaście lat później, gdy przyszło do wydania zbiorowego pism Żmichowskiej. Drażliwość na punkcie dyskrecji była wtedy wielka w prasie warszawskiej, tem większa, że przyczyną jej były nietylko względy towarzyskie. Życie towarzyskie, zwłaszcza w takiem środowisku patrjotycznem, odbywało się przy zamkniętych drzwiach i okienicach. Pierwiastkiem zasadniczym atmosfery ówczesnej w Warszawie był strach. Żmichowska może najmniej mu ulegała, ale Skimborowicz pierwszy mógł protestować: dlaczego ma być światu wiadomo, kto bywa w jego domu, z kim ma stosunki w Poznańskiem?

[3]) Ob. „Listy N. Ż. do rodziny i przyjaciół", III, 227 i 235.

[4]) List z r. 1871 do Elli. Ob. „Listy N. Ż. do rodziny i przyjaciół, t. II, 486.

A zdawało się im, będącym zbliska, że portrety są tak wyraźne, iż każdy rozpozna osoby. Niektóre portrety na zawsze zakonspirowano, mianowicie Edmunda. Zobaczymy potem, dlaczego.

II

Były w krytyce próby kwestjonowania związku kompozycyjnego między owym wstępnym obrazkiem a powieścią. Nie zadano sobie nawet trudu zajrzenia do tekstu w „Przeglądzie Naukowym", gdzie przecież — pomimo oberwania tego wstępu, pozostały w środku opowiadania nitki, zwroty do osób siedzących przy kominku, a zakończenie ma nawet formę dyskusji z niemi. Sam tytuł w pierwodruku wiąże powieść z obrazkiem, w którym punktem głównym jest kominek. Tytuł brzmi: „Poganka. Powieść przy kominkowym ogniu opowiadana"[5]). Również kominek figuruje w zakończeniu powieści. Właśnie dlatego Benjamin począł opowiadać swoje dzieje, że kominek, przy którym siedział obok Żmichowskiej, poruszył w nim ciężkie wspomnienia i usposobił do wylewności.

Żmichowska miała w sobie coś z wiejskich prządek mazurskich, opowiadających klechdy przy kądzieli i ogniu na kominie. Bajka — bajką, ale jeśli wziąć razem wszystko z tą izbą, jako nastrój, to połowa uroku przypadnie na fluid towarzyski, na ów komin, na mroki po kątach, na pełgające po ścianach światło i ruchome na nich cienie.

Żmichowska odczuwała żywo ten nastrój, a w dodatku egzaltowała ją świadomość rozkoszy towarzyskiej, jaką daje komunikowanie się wzajemne serc kochających i wymiana myśli na poziomie najwyższych idej.

Kobietę samotną, społecznie bądź co bądź upośledzoną (guwernantka!), zgonioną po obcych domach, spotyka szczęście ogniska dla duszy, która nigdzie w tej pełni rozgorzeć nie mogła. Jakie to było dla Żmichowskiej rewelacyjne, gdy dostawszy się do Warszawy w r. 1839 po długiem pobycie w Paryżu i w obych domach w Poznańskiem, znalazła się u Skimborowiczów w gronie osób, które w dziwny sposób, z ducha czasu, nastrojone były na ten sam co ona kamerton. Jakże przytem swojsko poczuła się w zacisznym pokoju warszawskim z owym samowarem, którego oddawna nie widywała, z samowarem, który „w miarę dosypywanych węgli syczał lub warczał gotującą się w nim wodą".

Był to właśnie grudzień. Ten wieczór zimowy utkwił jej w pamięci jak obrazek. Musiało być wtedy kilka tylko osób. Spokój zaciszny, błogie uczucie bezpieczeństwa osobistego.

„Jaki to był prześliczny ów kominek!... Choćbyś miał smutek na sercu, choć zgryzoty na sumieniu, to przy ich [płonących drewek] blasku i myśli ci się rozjaśnią i droga zbawienia ukaże... Trzeba sobie wyobrazić, że ów kominek bezcenny znajdował się w dosyć dużym i wysokim pokoju, że ten ogień niepokalany rozświetlał połyskami swojemi cztery bielutkie ściany, dwa gotyckie okna z przymkniętemi od ogrodu okienicami, śnieżyste zwoje muślinowych firanek... Im niepogodniej było na dworze, tem rozkoszniej lubowaliśmy się ogniem kominka i cichością pokoju i muzyką

[5]) Rzecz dziwna, że w wydaniu naukowem Bibljoteki Narodowej ten podtytuł pominięto.

samowaru... Ach, bo nam wtedy tak dobrze było jednym z drugimi, ach — bo my wtedy kochaliśmy się tak szczerze, szanowali tak ufnie, spodziewali się tak nieomylnie!”

Rozgrzewała się w tym ogniu dusza aż do wynurzeń, jak na spowiedzi. Czego się ci ludzie spodziewali? Nie można „Poganki” czytać bez mentalnego uzupełnienia słów, obliczonych na domyślność. Czytając musimy się sami nastroić światłem i ciepłem ówczesnego kominka. Spowiedzi dokonywano głosem zciszonym w pewnych momentach, bo nuż tam za przymkniętemi okiennicami ktoś stoi i podsłuchuje. To ogromnie pomagało skupieniu się i poufności. Pod spodem owej dyskutowanej „miłości” gorzała miłość „Matki”, snuły się po ścianach pokoju od tego ognia patrjotycznego w wybranem kółku światełka nadziei, i cienie niepokoju, dręczące duszę niewolną.

Trudno nie zauważyć, że tam był istotnie nastrój spowiedzi. Gdy wszystko od idealistycznego napięcia ducha zależne, to ten niepokój wyraża się w trosce o stan ducha. Co ja? Co ty? Na jaką miłość nas stać? Był to rys epoki — potrzeba spowiedzi. To była ciągła spowiedź pokutna po grzechu utraconej wolności, spowiedź przygotowująca dusze do święta zmartwychwstania. Spowiedzią była wielka poezja romantyczna, głośną spowiedzią z rekryminacjami były stany psychiczne emigracji, do znaczenia sakramentu doprowadzili tę spowiedź Towiańczycy. A czemże był „Wstępny obrazek”? Spowiadaniem wszystkich po kolei z grona przyjaciół. Spowiedzią było generalną to, co opowiadał Benjamin.

A na zakończenie, po tej spowiedzi, zebrani przy kominku radzą nad tem, czy dać Benjaminowi rozgrzeszenie. Nie dano!

III

Bardzo duży był zasiąg skrzydeł ideologicznych Żmichowskiej, duża pojemność serca, a jednak była istotą ziemską i nic, co ludzkie, nie było jej obce; to samo tyczy przyjaciółek, które uważała za święte, anielskie. Interesowały się ludźmi, jak rzekłem wyżej, rade spowiadały się, ale też chętnie spowiadały innych. A trudno utrzymywać, by im zbywało na kryterjach wartości człowieka. Potrafiły też być surowe. Im gorętszemi były entuzjastkami ideału, tem surowszy, nawet okrutny musiał być ich sposób potępiania tego, co za złe uważały. Entuzjazm nie wyłącza niesprawiedliwości.

Żmichowska obserwatorką była bystrą. Widzimy w „obrazku wstępnym”, ile figur od ręki sportretowała i to niezawsze obserwując bezpośrednio, jak np. Majorkiewicza. Szukała jednak postaci dla swoich tez ideowych, bądź psychologicznych; szukała rzeczywistych wydarzeń, któreby można było ubajecznić i podnieść do znaczenia symbolu.

W Warszawie ukazało się zjawisko bardzo efektowne w świecie towarzyskim w postaci pani Marji Kalergis. Przybyła do Warszawy w listopadzie 1840 r. i zamieszkała u ojca Fryderyka hr. Nesselrode. Wiemy z jej życiorysów i z kronik wszystkich niemal stolic Europy, jakie wrażenie robiła jej postać na wielkim świecie. Znamy ją zbliska z powodu związku jej z losem Norwida. W małej Warszawie, pędzącej żywot pozadziejowy, pojawienie się jej w salonach było sensacją, nie dającą się prędko zatrzeć. Byłoby dziwne, gdyby było inaczej. Wyjątkowa jej piękność zastanawiała swojem nieprawdopodobieństwem. Dowiedzieliśmy się o tem od takich poszukiwaczy piękna, jak Teofil Gauthier, Musset, Liszt, Heine, Szopen, Wagner; urok p. Kalegis sięgał tronów (Ludwik Nap). Warszawa miała możność oglądania jej przez parę lat w czasie, gdy była najpiękniejsza. W r. 1840 miała lat 18.

Żmichowska, umiejąca podziwiać piękność kobiecą, niewątpiliwie nieraz widziała w Warszawie to zjawisko; nie mało też o niej nagwarzyła z przyjaciółkami, ale czy z entuzjazmem, o tem można wątpić. Patrzyła na nią przez pryzmat wielkiego oddalenia społecznego i dużych wątpliwości co do gatunku jej polskości i patrjotyzmu. Demokratki typu Żmichowskiej nie mogły mieć sympatji dla kobiety, czyniącej z życia nieustający turniej popisu salonowego, zdolnej oddychać tylko atmosferą hołdów, nie uznającej niczego, coby nie było użyciem. Nie trzeba chyba mówić o antypatji, którą żywiono dla jej otoczenia najbliższego. Ojciec był przecież szefem żandarmerji.

Możeby to wrażenie zginęło w magazynie pamięci tak, jak mija sensacja z powodu spostrzeżonej komety, gdyby Żmichowska nie dopatrywała się w tem zjawisku symbolu, a w uroku, jaki ta kobieta roztaczała, — czarów. Gdy do Warszawy doszła wiadomość o szaleństwach, jakie dla p. Kalergis popełnia Norwid, Żmichowska ujrzała w tym nienormalnym stosunku coś wyrocznego. Błysnął w jej wyobraźni literackiej schemat romansu, nadający się właśnie do jej poglądów na miłość. Dużo się mówiło w Warszawie o inteligencji p. Kalergis i o jej talentach, o jej uroku; może kto wymówił imię Aspazji. Jeszcze się klasycyzmu całkiem nie wyrzeczono: malarstwo ówczesne tkwiło jeszcze w tematach klasycznych. Skrzętniejszy odemnie badacz poszuka w katalogach ówczesnych wystaw i zapewne znajdzie obraz „Aspazja i Alcybiades”, który był pierwowzorem kompozycji Cyprjana...

Przypomniano sobie w Warszawie, jak i kiedy to się zaczęło. Wiemy o tem ze „wstępnego obrazka”, pisanego w r. 1845 w swej głównej osnowie. Było to „kilka lat temu” w grudniu, a więc (jak mniemam) w grudniu 1840 r., kiedy Żmichowska zawiązywała stosunki warszawskie i z ciekawością ludzi poznawała. Gwarzono wesoło przy kominku.

„Prześladowano Edmunda jakąś bardzo piękną panią; on się wypierał. Ja [Żmichowska] bez myśli rzuciłam uwagę, że dziwnym obyczajem wszyscy zakochani kryją się z miłością, jak z grzechem”. Augusta (p. Zofja Mielęcka-Węgierska) sprostowała: nie z grzechem, lecz ze skarbem; a Tekla (p. W. Zabłocka, kanoniczka) przestrzegała przed szukaniem takich „skarbów”, bo to niebezpieczne. Odznaczająca się temperamentem piękna p. Zofja utrzymywała, że za chwilę szczęścia, jaką daje miłość, można się narazić na niebezpieczeństwo. Wtedy Edmund wygłosił dytyramb na cześć miłości, pogańsko brzmiący, hymn „Indów i Persów”.

Tu, we „wstępnym obrazku” tkwi zalążek powieści. Sama powieść jest pokazem, na ekranie wyobraźni poetyckiej, opowieścią prządki, jak taka miłość niebezpieczna wygląda.

IV

Jaką rolę hrabina, przezwana Aspazją, odegrała w życiu Benjamina, opowiedziałem w poprzednim rozdziale. Jak ona wyglądała? Czy to była owa domniemana Zbyszewska, pucołowata i gadatliwa, czy też hrabianka Nesselrode-Kalergis?

Na pierwsze wejrzenie przedstawiła się Benjaminowi w ten sposób: „Wysoka była, blondyna, miała w czarnych rzęsach ciemno-zielone oczy, na twarzy jakby ślad znikającego rumieńca, na spadzistych ramionach, na wydatnej piersi lekkożółkniejącą białość marmuru"... „W pierwszej chwili — mówi Benjamin — nazwałem ją blondyną, gdyż to chyba złocistych pierścieni zwoje mogły wkoło jej twarzy roztoczyć taką jasną, przeświecającą niby wszystkiemi odcieniami bursztynu, niby wszystkiemi połyskami topazu aureolę"...

Ta aureola potrzebna była do zaznaczenia jej nieziemskiego pochodzenia. Ale czy to był anioł, czy demon? Autorka w odpowiedzi na to dała jej demoniczne oczy. I tutaj portret odbiega od znanych w literaturze portretów p. Kalergis. Żmichowska fiołkowe oczy zmienia na zielone. „Co do jej oczu, to prawdę powiedziałem: były ciemnozielone, jak malachit, nie jak szmaragd. Świeciły z wierzchu odbiciem tylko, bez żadnej promienności, bez tego przezrocza, którem to czasami dno serca widać. Jej oczy były jak nie jej oczy, były jakgdyby zamarłe oddawna, jak pożyczone u trupa, najpiękniejsze, ale do patrzenia jedynie, do użytku, nie do szczęścia. Co za dziwna sprzeczność z czołem wyniosłem i rysującem się w każdy wyraz myśli każdej! Co za dziwna sprzeczność z licem bladem, ale zda się gorącem jeszcze od krwi dopiero co ubiegłej, lub gorącem już od krwi, co ma z pierwszem serca uderzeniem nadpłynąć! Co za sprzeczność, co za najdziwaczniejsza sprzeczność z ustami, szczególnie z temi jej drobnemi, choć wydatnemi, z temi jej świeżemi jak niewinność, namiętnemi jak pieszczota ustami. Takie oczy i takie usta! Śmierć i życie!" (103 — 104).

Jest to portret p. Kalergis, podmalowany w oczach na demona. Nietylko jednak postać zewnętrzna ją przypomina, tożsamość widać dopiero z charakterystyki charakteru i obyczaju. Wszystko, co wiemy o p. Kalergis z ówczesnych pamiętników, poezyj, studjów (Photiades) znakomicie pochwyciła Żmichowska, aczkolwiek dla celów bajki szarżowała w stylizacji.

Chłód odpychający przy pociągającej, ale kapryśnej kokieterji zraził Benjamina. Ocenił odrazu trzeźwo, że to nie jego sfera, ten świat „saturnalji uczuć, rozumu i bogactwa, tych zbytków marnujących naturę i człowieczeństwo". To samo mówiono o życiu p. Kalergis, które było pasmem igrzysk salonowych, błyszczących przepychami uciech intelektualno-artystycznych, pozbawionych celu twórczego i uciech ciała, otoczonego zbytkiem, uciech serca, społecznie filantropijnego czasami, osobiście samolubnego, karmiącego się cierpieniem ludzi, zniewolonych kokieterją. Żegnając się z nią, Benjamin mówi tak, jakby mówili obserwatorzy warszawscy:

— „Widziałem obok ciebie nagromadzone wschodnich powieści przepychy, widziałem tłumy strojnych i wesołych ludzi, widziałem starcow piętnastoletnich, co dla zabawy i wyśmiania twych gości... Widziałem ciebie, pani, tak cudną i zachwycającą, że w pierwszych chwilach upiłem się blaskiem twojego oblicza i myślałem już, że tobie Aspazja na imię. Ale widziałem ciebie kobietą bogatą tylko, ucztującą, mądrą, dowcipną, szyderczą i dlatego odchodzę i odchodząc skarżę się pani przed sumieniem twojem"... (124). A nieco dalej: „Piękny posąg, mistrzowska rzeźba w marmurze". Przychodzi na myśl „Marmur biały" Norwida.

Umyślnie przepisuję tę charakterystykę, aby unaocznić, jak bezpodstawne, to znaczy zrobione bez sięgania do podstaw psychologji artystycznej, było przypuszczenie, że Żmichowska do takiego typu kobiety szukała modelu w panience z Turowa, istocie zupełnie z innego świata, ani uroczej, ani tak bogatej, ani tak... satanicznej.

Żmichowska dorwała się do portretu rzadko spotykanego okazu lwicy światowej. Ta skromna Polka, biedna pracownica, ale „siłaczka" nad te siłaczki, które widział Żeromski, patrzyła na ten typ możnej „Polki" z uczuciem pewnej zgrozy. Od jej ojca zależało, czy i kiedy pójdzie patrjota polski do więzienia, ale to nie przeszkadzało córce stroić się w szych patrjotyzmu. Wyczuwała instynktem, czego nie mogła piórem wyrażać, możliwości, jakiemi jej dusza mienić się będzie w życiu. Jak szydercza i dowcipna była Aspazja, Żmichowska musiała już wiedzieć, aczkolwiek chyba nie mogłaby przypuścić, że w listach jej do stryja, kanclerza Rosji, znajdą się niezadługo potem takie popisowe aforyzmy, jak ten z marca 1862 r.:

„Polska — to naród hermafrodytów. Każdy mężczyzna jest napół kobietą, każda kobieta — uposażona jest w energję, która okazuje się niedogodną, gdy się ma powołanie do noszenia spódnic. Oto dlaczego Polaków możnaby łatwo prowadzić, dając im więcej cacek, niż korzyści rzeczywistych. Niczego im nie dawać bez wspaniałej inscenizacji" [6]). W rok po tym liście wyszła za Muchanowa, w czasie powstania. Ale wówczas, gdy pisała ten list, pełna była goryczy, że towarzystwo warszawskie odwróciło się od niej. Pewno czytała już „Pogankę" w wydaniu z r. 1861. Wskazywałaby na to aluzja do energji kobiet, którym ciąży spódnica. Mściła się na Polsce.

Wracając do niefortunego romansu „Zbyszewska-Żmichowska", zaznaczyć muszę, że ten pomysł powstać mógł z braku niedostatecznego wmyślenia się w intencję artystyczną powieściopisarki. Potrzebna była Żm-ej właśnie piękność. Leżało to w temacie idealistycznym, zarówno przez malarza Cyprjana rozwiązywanym, jak i przez Żmichowską, że szczyt piękności naturalnej (żywej) nie jest jeszcze ideałem piękna w sztuce, że artysta ma jeszcze coś do dodania, coś co jest tajemnicą sztuki, a co wydobyć trzeba z ducha.

Model grał tutaj rolę ważną i w nim spoczywa waga koncepcji; piękność właśnie była problematem artystycznym, nie sam zawód miłości, nigdy zaś zawód tego typu, jakiego doznała w przyjaźni Żmichowska ze strony Zbyszewskiej. Jakżeby się zresztą śmiała Żmichowska, gdyby ją pomówiono, że siebie miała na względzie, przedstawiając Benjamina, jako szczątek człowieka.

ZYGMUNT WASILEWSKI

---

[6]) C. Photiades: *„Marie Kalergis, née cómtesse Nesselróde"*, Paris, Plon. p. 199.

MIĘDZY STOICYZMEM A CHRZEŚCIJAŃSTWEM

(Ciąg dalszy)

II

DO TEJ PORY mieliśmy do czynienia z samemi (częściowo) stoickiemi akcentami: wiarą w Bogu Ustawodawcę porządku naturalnego i porządku etycznego, postawą moralną godną prawdziwego stoika, posępną ale niezłomnie zdeterminowaną moralnie, optymizm metafizyczny, ale optymizm nie pierwotny, naiwny, tylko wtórny, dojrzały, jaki się zdobywa dopiero po kryzysie pesymizmu; naturalnie, wszystko to nie jest przeciwne chrystjanizmowi, owszem głęboko z nim zgodne — ale nie specyficznie chrześcijańskie, skoro i teista niechrześcijanin w taki sam sposób wierzył i może wierzyć. Natomiast niechrześcijańską już jest ta wiara, która ani zapragnie bezpośredniej interwencji boskiej, czyli cudu; wprawdzie i wielu bardzo wielu chrześcijan wiary tego typu wypiera się, zwłaszcza między protestantami[1]).

Wprawdzie, broniąc swej prawowierności można powiedzieć, iż się, mimo, że się samemu o cud nie wzdycha, wiary w możliwość cudu nie odrzuca; ale mnie tu teraz idzie o psychologiczny żywy konkret, nie o postanowienie teoretyczne, które coprawda też jest pewnym znakiem i konkretem, ale już nie tak „żywym".—Otóż myślę, że wiary tej nie realizuje w intymnych westchnieniach serca ten tylko, kto w możliwość cudu nie może, wbrew swe teorji uwierzyć, kto po stoicku właśnie, zrezygnował wierzyć tylko w tego Boga, który, ustawodawcą będąc i stanowicielem Ładu w wszechświecie, naturalnego i moralnego, nie uważa za stosowne modyfikować cośkolwiek w działaniu praw z góry nadanych: *patos* ładu a nie *patos* cudu: ten ostatni specyficznie chrześcijański, a zwłaszcza katolicki, tamten stoicki, filozoficzny, a wewnątrz chrześcijaństwa raczej protestancki. W poemacie naszym mieliśmy dotąd potężne nastrojenie na *patos* ładu, cud był poecie niepotrzebny. Tymczasem pod koniec poematu znajdujemy taki *passus:*

„...O ludzie małej odwagi, liczący na miary i wagi, którzyście z trwogi poszaleli, zgubieni i opuszczeni na tym niezmiernym świecie... Czy jeszcze nie wierzycie, czyliście zapomnieli, że Bóg, sam Bóg wieczny i nieogarniony, przyszedł pomiędzy nas... w Nazarecie?!

Czy nie wiecie jeszcze, co to znaczy, że każdy z białych opłatków, święconych co dnia na wszystkich ziemiach tai całego Boga? Czy jeszcze zbiera was trwoga? Czy jeszcze myślicie inaczej?"...

Jest to niewątpliwie wyraz wiary autora, który widocznie zapragnął swoje stanowisko religijne już nietylko filozoficzno-stoikie, lecz i specyficznie chrześcijańskie i to katolickie zamanifestować; ale czytelnik poematu dość niespodziewanie zostaje wprowadzony w świat zupełnie nowy, atmosferę całkiem różną od poprzedniej: jak wierzyć w Eucharystję i w Boże Narodzenie, jeśli się wogóle nie wierzy w możliwość cudu? Ale kto wierzy w tę możliwość, ten się o cud modli: To prawda, że może być Bóg, co cudów nie sprawia— i można być religijnym bez tej wiary; ale jeśli są cudy, to są źródłem radości i prawdy zbyt wzniosłej, aby się miało i ochotę i prawo rezygnować z pragnienia cudu. Dlatego to, owa ściśle chrześcijańska wiara w dwa cudy najdziwniejsze, wyrażona pod koniec poematu, który poprzednio tak głęboko wprowadził czytelnika w atmosferę takiej religijności, w jakiej o cudy się ze wspaniałomyślną rezygnacją nie stoi, ale to dlatego, iż się w nie naprawdę nie wierzy — dlatego — to końcowe *credo* nie ma tu siły dostatecznie sugestywnej, a choć samo w sobie pięknie wyrażone, nie łączy się jednak harmonijnie z ogólną tonacją całego poematu, jest, w kompozycyjnym sensie, przypadkiem, czego dowód w tem, że poemat całkiem dobrze bez tego rozdziału wyobrazić sobie można: nic ani myślowo ani nastrojowo nie straciłby. Ażeby przygotować czytelnika na wiarę w sprawy cudowne, musiałby był poeta pogrążyć go w tej atmosferze, w której serce pragnie cudu, w której tylko jeszcze cud wydaje się jedynem zbawieniem, musiałby był poeta zanurzyć czytelnika w nieludzkim, naszemu prawu moralnemu obcym świecie przyrody, która z pod praw bożego Ładu moralnego bezbożnie wyrwała się, Kasprowiczowskiej przyrody, gdzie szatan śmierć chwyciwszy pod ramię tańczy wysoko, przyrody która, teologicznego już używając języka, przez grzech pierworodny jest zepsuta. Ale nasz poeta zna tylko chwalbę przyrody[2]). Gdyby chciał był nas do

[1]) Przypomina mi się, co mi jednego pięknego popołudnia w Ustroniu na Śląsku powiedział pewien inteligentny robotnik ewangielik: „Panie, niech mi pan powie, poco cudu? Czy to wszystko nie jest cudem?" I pokazał na niebo i lasy... Na com odpowiedział: „Czy pan nie uczułby radości wprost cudownej, gdyby się pewnego razu okazało, że to co się nazywa „duch" ma prawo przełamywać i uginać pod siebie to co się nazywa „materja"? Gdyby z przyrody, tak na nas obojętnej, doszła nas odpowiedź ludzka, a właściwie nadludzka, na nasze pytania, wołania, prośby, nakazy rzucane w puste powietrze? „Pragnienie cudu jest najistotniejszą, jak sądzę, z motywacyj wiarotwórczych, bo czemże jest ostatecznie religja w odróżnieniu od metafizycznego filozofowania, od panteistyczno-estetycznej afirmacji świata, jeśli nie obyczajem modlitwy, a czemże najkrwawsza modlitwa, jeśli nie białą magją, wołaniem o cud, nakazywaniem cudu?... Lecz i dla intelektualisty, dla którego prawda jest ważniejszą niż powodzenie, ideja cudu jest ideją najwspanialszego eksperymentu: że słowa ludzkie w przestrzeń rzucane trafiają do centrum tajnego, gdzie i człowiek jest zrozumiany i zaczyna się władztwo nad naturą... A cóż to znaczyłoby, jeśli nie to, że jest Dobry Bóg?... Lub, jeśli ktoś woli nieco skromniej się wyrazić, że jest Niebo?...

[2]) Nigdy nie mogę zgodzić się na chwalbę „porządku przyrody" i na wiązanie jego bezpośrednio z Bogiem: Porządek fizykalny nie ma w sobie nic z czegoby wnioskować można o osobistości Boga, a to jest jedyna ideja Boga, która usposabiać może do modlitwy, poza którym to obyczajem mogą być metafizyczne rozmyślania, uczucia, nastroje, ale nie religja w ścisłym sensie. W porządku biologicznym zbyt wiele jest rzeczy, które obrażają zmysł nasz moralny i estetyczny. Stawiamy naturze o wiele wyż-

wiary w cud przygotować, byłby musiał pogrążyć nas w atmosferę psalmową, *de profundis clamavi*, znowuż Kasprowiczowską, gdzie złamany niemocą, zrozpaczony grzechami człowiek, w górę rwie ręce, w świat cudownej nadziei, kajając się, krusząc, błagając... Ale tu mamy nawskroś samostarczalnego, dumnego człowieka, który ani myśli czegokolwiek żałować: jemu wystarczy zaufanie, że jest niezłomne Prawo sprawiedliwości, wedle którego sprawiedliwość poprostu należy mu się — i nie znać po nim żadnego lęku przed miejscem, jakie mu prawo to wyznaczy... Tak, to jest wspaniała postawa, ale czy to jest postawa chrześcijańska? To jest człowiek zaokrąglony, przyzwoity od samego środka, prawy, wytrwały, nieulękły mąż — człowiek w samej głębi ducha zadowolony z siebie, Rzymianin-stoik; tymczasem prawdziwy chrześcijanin (czyli „święty") jest zawsze z siebie niezadowolony, trawi go moralne nienasycenie — bo już sam ideał doskonałości chrześcijańskiej nie ma w sobie nic okrągłego, nic gotowego; — i dlatego właśnie chrześcijanin nie może poczuć się samostarczalnym, dlatego wzdycha razem z całem stworzeniem, którego niedoskonałość czuje dolegliwie, dlatego pragnie interwencji z zewnątrz naturalnego świata, dlatego modli się do Boga Cudów.

Zwracam na to uwagę czytelnika, że w powyższych paru zdaniach, gdzie duchowi Kasprowiczowskiemu przeciwstawiam medyckiego poetę, nawiązuję do tych moich uwag w poprz. art. gdzie mówię o „okrągłej", gotowej, klasycznej, w istocie statycznej duchowości i kulturze, jaką wyraża wydawnictwo Bibljoteka Medycka.

Jeszcze jedna uwaga: Weźmy już chrystjanizm jak najszerzej i najliberalniej, jak najmniej teoretycznie — teologicznie, a jak najbardziej praktycznie — psychologicznie, zawszeć centralnem wyobrażeniem religijnem będzie Osobistość Jezusa Chrystusa, przyczem jedni będą sobie chętniej historycznego Jezusa, inni mistycznego Chrystusa wyobrażali. Otóż ciekawa rzecz, w toku poematu, ani razu J. Chr. nie jawi się — wszędzie tylko myśl poety dźwiga się do Boga Stwórcy, Boga Ojca, ani raju Jego plastycznie nie antropomorfizując. Wprawdzie teoretycznie — teologicznie można będzie replikować, że Syn Boży a Bóg Ojciec, Zbawiciel a Stwórca—to jeden Bóg — ale, powtarzam raz jeszcze, mnie w tem obchodzi nie tyle teologja do której się poeta oficjalnie i z najlepszą swoją wolą przyłącza, ile rodzaj wyobraźni, która się w poemacie przejawiła — a tej nie uznaję za typowo chrześcijańską. Prawda, że poemat jest poprzedzony pięknym wierszem, stylizującym kolędnicze powitanie:

> Chwała Ojcu, Synowi i Świętemu Duchowi...
> Idziemy do was z światłem, idziemy do was nowi, —
> Niesiem dobrą nowinę i nie chcemy nic za to,
> Radość wasza i nasza będzie naszą zapłatą!" — —

prawda, że wieści w tym wierszu wesołą nowiną:

> „Przynosimy wam pewność, bośmy widzieli sami.
> Dzisiaj, w samo południe — że jest Bóg z nami!
>
> W rynku wielkiego miasta, gdzie ciżba i stragany,
> Widzieliśmy Go dzisiaj u południowej ściany.
>
> — — — — — — — — — — — —
>
> Popatrzał na nas tylko oczyma jak jezioro,
> Że od patrzenia tego jeszcze nam serca gorą" — — —

ale ten wiersz nie jest integralną częścią poematu, jest dodany, ma odmienną tonację uczuciową i inny typ wyobraźni — tu intymne ciepło i wizja osobistości — gdy w poemacie jest chłód wyżyn, a Bóg raczej metafizyczną, nieosobistą potęgą, Prawem raczej niż Osobą. Tak, jakby w duszy poety istniały dwa odrębne centra religijne — i jakby, o ile właśnie z tej analizy wnioskować wolno, w psychice poety nie doszło do zdeklarowanej stylizacji życia religijnego — czego skutkiem w poemacie jest pewne estetyczne jego zmącenie, estetyczne, bo, nakierowana już w jednym kierunku bardzo wyrazistym, uczuciowość czytelnika, musi dość niespodziewanie skręcić w innym, nie powiem przeciwnym, ale w każdym razie mocno odmiennym kierunku, co nie może stanowić estetycznej, formalnej przyjemności.

III

Trzecim ideowym elementem utworu jest koncepcja „Prawa Różnic", ulubiona koncepcja M. Pawlikowskiego, której wyraz daje i w studjum o „kulturze narodowej" (w „Oknach"). „Prawo różnic" to tyle co indywiduacja, metafizyczny fakt — odrębnych, samych na sobie zawisłych jaźni, i potem wiązania się tych jaźni w gatunki na podstawie podobieństwa — co do ostatniego zresztą, rzecz wychodzi niejasno. Odmienność jest chwałą i radością stworzeń, dobrze i bosko jest, jeśli świat jest różnolity — i oto modlitwa poety redukuje się do hymnu pochwalnego na cześć Potęgi, która władną była tak nieskończenie bogate zróżnicowanie Rzeczywistości zarządzić:

> „O nic nie proszę...
> Tylko mój głos pod świętem prawem różnic, iż go możesz usłyszeć i rozróżnić — woła:
> Potęgi wieczystej pełny, Bóg mój a Bóg nieśmiertelny!...
> Który uczynił, że to jest to, a tamto tamto i rozradował je innością, — Który czyni, że tu jest tak, a tam jest inaczej, — Który oddziela ziemie od wody, który świat rozbija na rody i Który je wiąże w narody!
> Za Jego to przyczyną te same soki z ziemi płyną, — jawor jaworem a jodłę jodłą czynią, łąkę łąką, a bór borem...
> Za Jego to przyczyną Rzym jest Rzymem, a Francja jest Francją, Niemcami Niemce, a Polska Polską, ojczyzną moją jedyną".

Głęboko dyskretny liryzm w tej ostatniej identyfikacji...

---

sze wymagania niż te, na które ona może odpowiedzieć, żądamy od niej sensu, a ona zbyt często myli się i wogóle zachowuje się często całkiem nieprzyzwoicie. Oddzielić jednak ideję Boga od idei Natury, byłoby manicheizmem, z ważnych względów niebezpiecznym choćby np. z tego, że nie wolnoby nam było czułym być na harmonijny aspekt natury. Pozostaje jedynie — o ile nie chce się być ani ateistą, ani panteistą—witalistą, czyli nowoczesnym poganinem — ideja „grzechu pierworodnego rozumianego jako pierwotne jakieś odstępstwo świata od stworzonego Ładu, który jednak niezamącony pozostał w dziedzinie porządku moralnego. „*Ex creato Creatorem*" — ale to stworzone, z którego właściwie wnioskować wolno o Stwórcy, to są niezłomne wartości moralne człowieka, gdy się ponad naturę własną wybija. W związku z takiem odczuwaniem religijnem, na pierwszy plan religijnej wyobraźni i myśli występuje nie ideja Boga-Stwórcy lecz Boga-Zbawiciela, Boga, który nad nami i z nami cierpi i boleje. Nie widzę tu piękniejszego Jego obrazu ponad tego Pana Jezusa Frasobliwego, który przy polskich drogach lubi siadać z czołem w dłoni. (Przy sposobności, już całkiem marginesowo, wspomnę, że wybitny ludoznawca i znawca sztuki Tadeusz Seweryn twierdzi, iż ten popularny typ wizerunku Chrystusa właściwy jest tylko Polsce).

Tu jednak zauważę, że jest pewne i niemałe bezpieczeństwo w poezji dydaktycznej; wprawdzie nie w dydaktyczno opisowej — (bo np. można dać wzniosłą rzecz o ewolucji przyrody ku człowiekowi, to też przy omawianiu w poprzednich artykułach poezji Obertyńskiej zwracałem uwagę na utwory dydaktyczne jakby, jak np. przejmujący wiersz o pamięci) — ale w poetyckiej dydaktyce filozoficznej tkwi niebezpieczeństwo: Jeśli będzie poetyczną, będzie za mało filozoficzną, jeśli filozoficzną, to za mało poetyczną: Jeśli poeta konkretnie ujmie zagadnienie, zaniedba subtelności myślowych, jeśli się w nie wda, porzuci konkret, który jest głównym materjałem artysty wogóle. Jeśli więc w danym razie, będzie mówił, że to jest tem, a tamtem tamto, jawor jaworem, jodła jodłą, a Polska Polską, to to jest styl mowy codziennej, konkretny — i to będzie poetyczne — ale wtedy nie wiem, czy Polska jest taką samą „jaźnią", czy tam „entelechją", czy „osobowością" jaką możemy — (jeśli W. Sternowi wierzymy, że i kryształ jest osobistością) — przyznać roślinie, jodle czy sośnie — czy też jest tylko gatunkiem? I t. d. Jeśli zaś mówimy o „prawie różnic" — to mam wątpliwość, czy takie, które, jako intelektualne czysto, nie rozprószy poetycznego nastroju, w którym jesteśmy, czy nie rozprószy wzywając nas do operacji, która nie jest estetyczną? Zostanie jako walor poetycki i ideowy to, że poemat sugeruje nam urok rozmaitości i że nam poddaje myśl, iż świat powinien być rozmaity, że specyficzna odrębność jestestw i grup jest ich cnotą, a nie grzechem. Z tą ideją poeta jest typowym człowiekiem Zachodu.

IV

Chcę jeszcze uwagę Czytelnika zwrócić na oryginalną formę poematu: formą jego „wewnętrzną" jest medytacja wzbierająca aż do poziomu hymnu. Odpowiednim temu założeniu jest styl, o małej ilości metafor, poniekąd dydaktyczny; wzniosłość i poetyczność tej mowy wynika z jej konkretnej prostoty, w której język codzienny nabiera jednak czegoś monumentalnego, z lapidarnej i zwartej rytmiki tych zdań. Ciekawe jest rymowanie: najzupełniej nieregularne; poeta nie nałożył sobie żadnego w tym względzie przymusu, jesteśmy jakby *in statu nascendi* rymu: kiedy wzbierze pierś poety potrzebą silniejszego przytaknięcia myśli, wtedy, i tylko wtedy, nadbiega rym, rym czasem niedokładny, a często najprymitywniejszy, gramatyczny; ale taki właśnie świadomie niewybredny rym doskonale nadaje się do poematu, w którym rzeczowość religijno-metafizycznej medytacji i etycznych deklaracyj, wiąże się z rozśpiewaniem ludowej pieśni kościelnej:

„Niech będzie Bóg uwielbiony, niech będzie uwielbione święte imię Jego, który był na początku wszystkiego, który wszystko stworzył z niczego..."

Nie waha się nawet po kilka razy, raz za razem, powtórzyć tego samego rymu.

Co do metryki w ściślejszem znaczeniu, to mamy tu do czynienia z prozą rytmiczną, o wiele regularniejszą niż proza zwykła, ale mniej regularną niźli nawet wiersz wolny, np. Hymnów Kasprowicza; — ale jeśli kto zechce, to rozbiwszy wersety na rządki według, czy to owych przypadkowych rymów, czy to według, miarą psychofizyczną czytelnika stanowionych całostek rytmicznych — to może tu mówić o „wierszu wolnym"; właściwszem jednak określeniem, według intencji poety, będzie to pierwsze: „proza rytm", skoro sam autor dzielił wiersz nie na rządki lecz na wersety — jak w biblji.

Charakterystyczna dla typu języka, który jest i naukowy i religijny i w końcu malarski, będzie taka cytata:

Bądź pochwalony Boże, morzem, co pod żelaznem niebem pociemniało i w własny szum się zasłuchało...

Bądź pochwalony morzem, które bije w naniesione lodowcami tamy grzmotami, wichrząc białemi grzywami i otwiera łona zielone, i rozbija się w spienione rozchłysty i rozpryski, i zawichrza się w tę stronę i w tamtą stronę zatacza się i spływa po kamieniach, szemrząc perłowym żwiru szelestem...

Bądź pochwalony morzem, co chyże, a zadumane w bytu przelewie, ciche a pełne gwaru, w pustce bezmiaru o brzegi białą pospieniało pianę — o Hel o Rozewie i o Pomorze i o Rujanę, fala po fali, coraz dalej ...i jeszcze ...i jeszcze dalej...

Huk nieustanny wód i wieczorne ciemno. Pokój potęgi nademną — nademną prawdziwy Bóg...

. . . .

niech będzie Bóg uwielbiony...

Niech będzie Bóg uwielbiony, niech będzie uwielbione święte imię Jego, Który był przed początkiem wszystkiego, Który wszystko stworzył z niczego... Który napełnił nic wszystkiem, jak Przenajświętszy Sakrament, Który na otchłań rzucił światów ognisty zamęt, — Który wiódł ziemię przez sylur, dewon i węgiel, przez lias, tryjas i kredę, przez eocen, oligocen, pliocen, — Który jeden był sam czas niecofniony stworzyć mocen...

I rozkołysał morze we wieczny przypływ i odpływ i wieczny przypływ i odpływ, [7]) — a ono w nieustannym śpiewie bije o brzeg miotając pióropusze pian... o Hel o Rozewie i o Pomorze i o Rujanę..." [8])

Tak, wiele jest prostotnej, wzniosłej piękności w tym niedługim poemacie, a takie np. zakończenie jego, którego już nie cytuję, czytelnikowi je zostawiając, należy, tak czuję, do najpiękniejszych i najwyższych miejsc poezji polskiej.

Autor „Harfy Eolskiej" Michał Pawlikowski wraz z obiema świetnemi poetkami medyckiemi, Marylą Wolską i Beatą Obertyńską należy do poetów dobrych i bardzo dobrych, których mamy sporo. Natomiast ostatnim swoim „hymnem strzelistym" zdobywa sobie pozycję całkiem osobną. Kiedy oglądamy się za jakiemś podobieństwem, to znajdujemy je w przeszłości: utwór, na którym napisany tytuł „Genezis z Ducha".

Widzę podobieństwo w kosmiczno-epickim tchu, częściowo w temacie, poematów; w dumnej a modlitewnej, zadumanej postawie; w tych rozmowach z Bogiem, pośrodku przyrody wzniosłej toczonych, tam nad oceanem, tu w górach wysokich; ale podobieństwo tylko — nie epigonizm. W naszą nieliczną, ale wysoką poezję religijną Pawlikowski wszedł z obliczem nowem i nawskroś indywidualnem.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

---

[7]) *Sic*, powtarza o „odpływie" i „przypływie", na którą to prostotę stylistyczną może sobie pozwolić, dopuściwszy wogóle mowę codzienną, jako stosowną w utworze, który jest dumaniem, medytacją.

[8]) ...p i a n i R u j a n ę; rodzaj rymu niedokładnego; w tej chwili nie przypominam sobie, czy ten typ już jest używany?

NA WIDOWNI

O działaczu „zbiorowym" i sile „masy". — Parlament złożony z ludzi rozumu, zasługi i bohaterstwa. — Wzywanie Szczepanowsaiego ku pomocy. — Przywileje mniejszoćci. — Co mówi Polska?

PRZYPADEK chciał, że sięgnąwszy w kawiarni po gazetkę (jakąś czerwoną), wyczytałem wielki tytuł: „Ludzie rozumu, zasługi i bohaterstwa w przeobrażonym Sejmie i Senacie". Szczęśliwy kraj, któremu się zdarzył taki parlament — pomyślałem sobie. Czytając wnoszę, że o Polsce mowa. Zbliżają się — jak widzę — wybory; jeszcze ich nie było, a już zgóry wiadomo, że zasiądą w izbach „ludzie rozumu, zasługi i bohaterstwa". Jakaż to genjalna ordynacja, skoro daje możność tak szczęśliwego pokierowania wyborami!

Pierwsza część artykułu poświęcona jest dotychczasowym izbom: „Nastały złe czasy dla spryciarzy politycznych" — tak zaczyna publicysta, mając na myśli dawnych posłów i senatorów. — „Oni to właśnie paradowali na froncie życia zbiorowego. Nie trzeba było ani charakteru, ani fachowości, ani zasług, ani ofiarności — wystarczało być spryciarzem"... Sądząc z tych słów, zdawałoby się, że ci ludzie bez rozumu, zasługi i bohaterstwa dowiedli swego sprytu tem, że opanowali ster państwa, bo to musiało być celem ich zabiegów. Ale nie — osiągnęli ten cel inni. Skądże więc przysługiwać im możc miano spryciarzy?

Wszystko się zmieniło odkąd ci, „co walczyli o niepodległość Państwa, rozpoczęli walkę o oczyszczenie atmosfery moralnej naszego życia publicznego". Otóż te wybory są (czy będą) rezultatem zwycięstwa sanacji, odniesionego nad wrogiem wewnętrznym, a przedewszystkiem nad obozem narodowym. Śladu już po nim niema w życiu publicznem, po tym spryciarzu! Nastały inne czasy. Autor przytoczonego artykułu utrzymuje, że stało się to w myśl zasady jednego z najgłębszych naszych myślicieli Stan. Szczepanowskiego, który mówił: „Podstawą każdego działacza zbiorowego (?) jest przeobrażenie jednostki. Szlachetna i bohaterska jednostka przeobraża społeczeństwo. Przeobrażone społeczeństwo staje się siłą historyczną, przeobraża stosunki narodowe i międzynarodowe".

Kłopot niemały z taką cytatą, żeby czasem nie myślano, że mowa o „działaczu *narodowym*"; dzisiaj można być tylko „działaczem zbiorowym", choćby to nie miało sensu. Chodzi o sens artykułu przedwyborczego, a on jest taki:

> „Rzeczpospolita, geograficznie na rozdrożu dwu światów położona, w swej misji dziejowej w tej części Europy nie ma dwu dróg do wyboru. Silną nazewnątrz może być wtedy, gdy będzie zdolną do „przeobrażenia stosunków narodowych" — tak jak to wskazuje Stanisław Szczepanowski.
>
> Element siły musi tkwić u niej nazewnątrz (?) i to na niebylejakich podstawach oparty. Siła masy — to siła jednoski, to przeobrażenie się w jednostkę świadomą, która potrafi budować siłę Państwa.
>
> Tym duchem przepojona jest nasza nowa Konstytucja. Nowy Sejm i nowy Senat muszą być wybrane przez tak przeobrażone społeczeństwo, muszą stanowić zespół tak przeobrażonych jednostek".

Czytelnik, mający ambicję rozumienia tego, co czyta, weźmie mi za złe, że przytaczam tę paplaninę, ale musiałem przytoczyć, bo czyż można znaleźć lepszy przykład bezmyślności sfer „przeobrażających" społeczeństwo moralnie i intelektualnie. Oto w drodze wyborów (wolnych, bezpośrednich, tajnych, powszechnych) wyłania się elita, złożona z ludzi rozumu, zasługi i bohaterstwa (Wiślicki się kłania). Właśnie o tem myślał Szczepanowski.

Tak to dziś „przeobrażona" publicystyka wyciera sobie pióro „Rzeczpospolitą geograficznie na rozdrożu dwu światów położoną"... Obyż nas Bóg nie skarał za ten cynizm!

„Siła masy — to siła jednostki". Gdyby naród nie był w niełasce, pisałoby się: siła narodu — to siła jednostki. Ale siłę swoją jednostka zawdzięcza narodowi. Tylko pełnią aspiracyj żyjący naród może wytworzyć silnego człowieka w znaczeniu „działacza zbiorowego". I tę rzecz rozumiał Szczepanowski. Zupełnej niepoczytalności sanacyjnego słowa publicystycznego przypisać należy owo powoływanie się na Szczepanowskiego.

Był to romantyk, idealista, orędownik bujnej osobowości zarówno narodu, jak i jednostki. Wierzył w genjusz narodu i w tajemniczą moc jego życia, w tę jakąś nieuchwytną dla oka i rozumu siłę, która daje ziarnu usiewność i sprawia, że rzucone w ziemię nie gnije, lecz daje początek nowemu życiu. Wierzył, że naród jest postacią osobowego życia i źródłem sił cywilizacyjnych, które wytwarzają na organizmie narodu pancerz państwa. Ponad wiarę demokratyczną w zasadę praw przysługujących jednostce stawiał zasadę obowiązków jednostki, tutaj zaś wyznawał mickiewiczowską zasadę dobrowolności. W jego patrjotycznym składzie wiary w naród największą bodaj rolę odgrywało przeświadczenie o wyższości nacji polskiej nad innemi narodami. Mianowicie wierzył, że — pomimo niskiego poziomu kultury i pomimo ubóstwa materjalnego — naród polski góruje nad innemi darem natchnienia, intuicją swych dróg i że przeto sztuka rządzenia Polską polegać zawsze będzie na umiejętności takiego jej organizowania, ażeby jej myśl i jej popęd zawsze, w każdej potrzebie mogły być dobrze wyczuwane i zużytkowane. Bo w tem natchnieniu właśnie leży popęd dobrowolności służenia państwu, jego zadaniom i celom.

Jak widzimy, stanowisko diametralnie różne od tego, jakie zajmuje t. zw. „sanacja", pozbawiona zupełnie intuicji i gardząca tą siłą, jaką reprezentuje naród.

Pierwszy lepszy z brzegu chłop prosty ma więcej kwalifikacji na wychowawcę narodu, niż „mąż stanu" socjalistycznej prowenjencji, cytujący Szczepanowskiego. Przecież to zjawisko z nieprawdziwego zdarzenia.

Ze Szczepanowskim można się w paru punktach nie zgadzać, inaczej dzisiaj patrzymy np. na to, czemu on nadawał barwę zbyt mesjaniczną, ale przecież i tutaj przyznać musimy mu rację, że nie mamy prawa wstydzić się typu swojej duchowości i że pod pewnym względem możemy być dumni ze swojej wyższości. Właśnie z powodu swego opóźnienia w wyścigu cywilizacyjnym z innemi krajami, nie wpadliśmy całkowicie w potrzask, jaki zastawiły na szampionów tego wyścigu ideały materjalistyczno-mechanistyczne. Mieliśmy jeszcze możność uratowania ze swych darów duchowych, co jeszcze nie zmarnowane.

Po odzyskaniu niepodległości stało się bardzo pilną sprawą dokształcanie mas narodowych do nowych zadań. Konieczność ta jednak określała

kierunek wychowania przeciwny temu, który ni stąd ni zowąd, na podstawie jedynie pogłosek o tem, co gdzieindziej się robi, u nas sobie wyznaczono. Koncepcja współżycia państwa z narodem według tej improwizowanej ideologji oparta jest na negacji praw przyrodzonych, na przecięciu kontaktów z żywą siłą narodu. Naród ma mieć jakiś byt równoległy i ma milczeć, a po drugiej stronie, ponieważ niema do kogo mówić, także się będzie milczało. Spotykamy się tylko na zabawach i uroczystościach; wtedy dużo się mówi, ale niepotrzebnie, bo tego nikt nie słucha.

Owa „Rzeczpospolita na rozdrożu dwu światów położona" ma sobie i komuś wiele do powiedzenia, więcej jeszcze do zrobienia, na to potrzebny byłby system otwartego z narodem współżycia. System zakłamywania się może bawić tylko jedno pokolenie, któremu się taki sport nastręczył, ale co potem?

W tej chwili obywatel zastanawia się nad tem, jak będzie wyglądała twarz izb ustawodawczych. Partje „zlikwidowano", istnieć będzie tylko „Sanacja". Ta nie ma żadnej potrzeby deliberowania, wszystko bowiem dedukować musi z wniosków jej przedłożonych. Ale będą inne grupy, będą Ukraińcy, będą żydzi. Oni będą się naradzali w swoich klubach; jedynie prądy, nurtujące naród polski, nie znajdą dla siebie lokalu. Krążyć będą kuluarami. Eizjognomja „mniejszości" zarysuje się stosunkowo bardzo wyraziście.

Przytoczę z „Kurjera Poznańskiego" urywek listu lwowskiego (nr. 405):

„Żyjemy tu we Lwowie w okresie — pożal się Boże — przedwyborczym. Posłowie do przyszłego Sejmu zostali już wybrani, gdyż śmiało powiedzieć można, że posłami będą dwaj pierwsi kandydaci, umieszczeni na liście. Motywy „sanacji" wschodnio-małopolskiej są zupełnie jasne. Dała ona połowę mandatów naszej dzielnicy, t. j. piętnaście, Ukraińcom i pozostałemi piętnastoma nie chciała się już dzielić z nikim. Na tak wielkie apetyty był to kąsek zamały.

Skoro już jesteśmy przy Ukraińcach, to powiedzmy sobie, że chodzi tu o koncesje zasadnicze i trwałe. Przez ucho igielne zgromadzeń okręgowych przeszli tylko kandydaci ukraińskiego „Unda". Nie znalazł się na listach kandydackich ani jeden starorusin, jakkolwiek dwu ich dotychczas zasiadało w Sejmie i to w klubie B. B. Nie znalazł się też odrębny kandydat łemkowski, coby wskazywało, że rząd zamierza zrezygnować z wyodrębnienia Łemków od Ukraińców i że eksperyment z odrębnym administratorem apostolskim dla Łemkowszczyzny w osobie ks. Maściucha należy uważać za nieudały i skończony.

Na tem jeszcze nie koniec. Kiedy w dwu okręgach wschodnio-małopolskich — brzeżańskim i buczackim — stanowiący większość delegaci Polacy na dwa pierwsze miejsca wysunęli Polaków i dopiero na dalsze Ukraińców i kiedy „Diło" oświadczyło wprost, że w tych okręgach nie dotrzymano umowy, — do dwóch dni w tych Brzeżnach i Buczaczu dwaj Polacy zrezygnowali i ustąpili miejsca Ukraińcom. Innemi słowy centrala, mianująca kandydatów, utarła nosa miejscowym elementom, rozumiejącym ordynację dosłownie i pozwalającym sobie na regjonalną samodzielność".

Żydzi również przystąpili do wyborów na podstawie zawartych układów i będą reprezentowani w parlamencie i pokaźnie i samodzielnie. Obu tym grupom nie zaprzeczono motywu suwerenności narodowej. Doskonale się naradzą w każdej sprawie, jak nią pokierować w interesie własnym, bez żadnego względu na interes Rzeczypospolitej.

Polaków będzie wielu, ale w rozsypce. Darmo szukać będą między sobą tej siły, o której tak pięknie mówi za Szczepanowskim publicysta sanacyjny.

*

Odbyły się zresztą wybory i one dają odpowiedź na pytanie wiszące w powietrzu. Uznano powszechnie te wybory za plebiscyt. Drugi to w tych czasach, obok szwajcarskiego, plebiscyt w Europie i bardzo znamienny. Głosowało w całym kraju, w obliczeniu przeciętnem, około 35 proc. uprawnionych do głosowania obywateli. Cyfrę tę podniosły korzystnie dla sanacji mniejszości żydowska, białoruska, ukraińska, niemiecka. W Kobryniu np. około 100% obywateli poleszuków domagało się jednomyślnie, aby do Sejmu weszli: twórca ordynacji wyborczej p. Podoski i przedstawiciel wielkiego przemysłu p. Hołyński...

Oczywiście nie o to chodzi; wybory dały odpowiedź, co myślą o sytuacji wytworzonej Polacy. Według urzędowych obliczeń w Warszawie głosowało 30% uprawnionych. Dużo w tem żydów; stawili się do urny wszyscy urzędnicy. W każdym razie wypowiedziało sie w sposób negatywny 70% uprawnionych do głosowania. Reszta obywateli przytwierdziła to stanowisko milczeniem.

Twórcy ordynacji wyborczej i konstytucji zostali oczywiście wybrani. No, ale co dalej?

Z. W.

GŁOSY

ZATARG WŁOSKO-ABISYŃSKI wywołuje rozbieżności w poglądach i sympatjach poltycznych. Nietylko względy humanitarne dzielą ludzi na obozy. Nawet ci, którzy uznają zasadę, że te względy ustępować nieraz muszą koniecznościom politycznym, wyrażają obawy, czy „szczerość" polityki włoskiej nie zachwieje równowagi, z takim wysiłkiem w Europie utrzymywanej. Z tego właśnie stanowiska rzecz ocenił w poprzednim n-rze „Myśli Narodowej" S. Z. w artykule „Szczerość a polityka", kierując się w swych refleksjach pełną dla Włoch życzliwością. Kwestja nie jest prosta, z wielu stron wymaga oświetlenia. To też radzi jesteśmy, że artykuł rzeczony wywołał dyskusję. Oto poniżej zamieszczamy głos, zasługujący na baczną uwagę:

„Niepojętem jest dla mnie, jak można traktować zatarg, nie powiedziałbym, włosko-abisyński, ale raczej zatarg o Abisynję z tak zupełnie nierealnego punktu widzenia. Pan S. Z. nie bierze pod uwagę tego, co się w świecie dzieje, a opiera jedynie swe zarzuty pod adresem Duce na zestawieniach wyjątków z jego przemówień.

Zgodzićby się można było ze stanowiskiem pana S. Z. w krytyce postępowania Mussoliniego, gdyby Włochy obracały się pośród narodów i państw kierujących się w polityce wyłącznie zasadami bezwzględnej szczerości i etyki chrześcijańskiej. Niestety, tak nie jest. Nauki Machjawela są znane nietylko Mussoliniemu. Mam wrażenie, że zasady te, jeśli trafiły na grunt podatny w słonecznych Włoszech, to jednak znalazły najgorliwszych wyznawców na chmurnej północy, nad Tamizą.

Nie chcę bronić dyktatur; jako Polak mam tradycyjną niechęć do tego systemu rządów, trudno jednak, nie odnieść wrażenia stronniczości pana S. Z. po przeczytaniu ustępu artykułu, traktującego o samowoli w systemie rządów monopartyjnych.

Jeśli można przyznać pewną dozę racji autorowi artykułu, gdy pisze o samowoli w stosunku do spraw wewnętrznych, absolutnie trudno zgodzić się z zarzutem, jakoby ta samowola w stosunku do narodów obcych, poza granicami kraju, miała być wyłączną cechą rządów monopartyjnych.

Weźmy pod uwagę kraj klasycznego liberalizmu, demokracji i wszelkich innych dobrodziejstw z dorobku zeszłego stulecia. Mam na myśli Anglję.— Czy tam czasem nie stosują narzucania swej woli narodom obcym? — Czyż nie jest to kraj najjaskrawiej kierujący się egoizmem narodowym? — Czyż my, Polacy, najlepiej nieraz w dziejach nie odczuliśmy tego na swej skórze? — Przyznaję, smutne to jest, że w polityce nie panują zasady takie, jakich zwolennikiem jest pan S. Z., ale czyż dopiero zatarg włosko-angielski o Abisynję, uświadomił panu S. Z. tę smutną rzeczywistość? — I czy można z tego robić zarzut specjalnie Włochom Mussoliniego?

Przypomniałbym szanownemu autorowi artykułu wojnę burską, gdzie w podobnej, z dnia dzisiejszego, do Włoch roli występowało państwo w pełnym rozkwicie parlamentaryzmu, państwo głoszące hasła demokracji, poszanowania praw obywatela i tyle, tyle innych, aż do znudzenia pięknie brzmiących haseł, które nie przeszkadzały mu bynajmniej w trzymaniu mocno w garści Burów i pozatem jeszcze wielu ludów, ras i narodów.

Specjalnie teraz zabolał mnie ten pogląd na jeden z niewielu narodów, który potrafił zrzucić z siebie pęta misternych sieci międzynarodówek i kierować swą polityką zgodnie ze swem dobrem, a nie pod suggestją mafji, działającej najczęściej z za parawanu humanitarnych haseł, dla celów ukrytych przed wzrokiem profanów.

Pisze szanowny autor: „...Świat kolorowy poruszony jest na wszystkich kontynentach...” — Owszem, widziałem to poruszenie w ilustracjach pism anglosaskich i im pokrewnych. Być może, iż duch pułkownika Lawrence’a sprawi, że takie poruszenia zajdą istotnie. — Ale czyż to są rzeczy nowe? Czyż nie byliśmy świadkami lepszych widowisk, jak naprzykład wojny państw południowo - amerykańskich, toczącej się przy akompanjamencie prasy, finansowanej przez nafciarzy żydowsko-anglosaskich, a broniącej z emfazą praw takiej, czy innej pół-kolorowej republiki?...

Jeszcze jedna uwaga. Pana S. Z. martwi, że są w Europie tacy, którzy: „...zawczasu gromadzą argumenty włoskie pod adresem Abisynji na użytek własny dla zastosowania w granicach Europy...”

Mój Boże, czyż ci, co te argumenty gromadzą, rzeczywiście tak ich potrzebują? — Przytoczony przez pana S. Z. przykład pogwałcenia neutralności Belgji najlepiej nas uczy, że kto chce psa uderzyć, ten kij zawsze znajdzie — niepotrzebny do tego przykład abisyński.

Wiem tylko jedno. Cały świat międzynarodówek, całe żydostwo światowe i nasze rodzime Nalewki ogromnie przejęte są dramatem rozgrywającym się przed naszemi oczami. Z niecierpliwością oczekują na spodziewane przez nich potknięcie się Mussoliniego. Skwapliwie zbierane są tam argumenty i zarzuty pod adresem Włoch faszystowskich. Wiem także, że „Myśl Narodowa” daleka jest od tego stanowiska, dlatego dyskusja na ten temat i wyjaśnienia są potrzebne. C. J.

NASZE GOSPODARSTWO

Czasy nasze nazywamy sami okresem przełomowym w historji. Przeżywany kryzys gospodarczy chcą liczni uczeni uznać za kryzys, a nawet likwidację kapitalizmu. Liberalizm gospodarczy, tak modny i potężny doniedawna, uchodzi w wielu krajach za przeżytek i anachronizm. W oczach naszych rozrasta się gospodarka planowa i mnożą się monopole państwowe. Handel światowy w ciągu 6 lat ostatnich skurczył się do 30% swej wartości i przybrał formy zupełnie specjalne: handlu zamiennego i kontyngentów, czem przypomina przedhistoryczną niemal wymianę towarów. Pieniądz staje się niejako domowym, krajowym tylko miernikiem wartości, a nie międzynarodowym znakiem obiegowym, ułatwiającym wymianę towaru i usług. Wysokość pokrycia waluty złotem nie gra większej roli. Kurs waluty jest zmienny, a państwa niektóre używają manipulacyj kursowych dla ożywienia wewnętrznego życia gospodarczego lub podwyższenia swoich wywozów zagranicznych. Autarkja święci olbrzymie triumfy.

Ustosunkowanie się ekonomistów z różnych obozów do tych zagadnień musi budzić nasze zainteresowanie. Oto p. Henryk Tennenbaum poświęcił zagadnieniu struktury gospodarstwa polskiego dwa tomy p. t. „Struktura gospodarstwa polskiego”. Tom I wyszedł przed dwoma laty i poświęcony był w całości „formom produkcji i zbytu”, tom II ukazał się w r. 1935, liczy 859 stronic i nosi podtytuł: „Kredyt”.

Pierwsze wrażenie po przeczytaniu dzieła: zmiany w życiu gospodarczem Polski, w strukturze organizacyjnej produkcji nie są zbyt wielkie ani głębokie. „*Die grosse Industrie marschiert immer mit der Regierung*”. Wielki przemysł stara się zawsze być dobrze z obozem rządowym. Potrzebuje ochrony celnej, kredytu, zwolnień podatkowych, walczy z rozrostem ubezpieczeń społecznych, zależny jest od inspektorów przemysłowych i sanitarnych.

Ta wielka zależność od władz państwowych sprawia, że państwo i wielki przemysł chętnie współpracują z sobą, że w konsekwencji wielki przemysł przybiera wielokrotnie formy instytucyj użyteczności publicznej, że uzyskuje formy karteli przymusowych, że państwo subwencjonuje w wielorakich postaciach całe gałęzie przemysłu kredytem, wyłącznością eksportu, przymusową a wysoką ceną wewnętrzną. Współpraca ta jest tak suggestywna, że — państwo samo coraz częściej przystępuje jako wspólnik do najgorszych interesów.

Polska jest typowym krajem, w którym wielki przemysł, w znacznym procencie finansowany przez obcy, zagraniczny kapitał, egoistycznie stara się przy pomocy państwa, a w imię „dobra kraju” wyzyskać wszystkie możliwości dla siebie. Prof. Tennenbaum opisuje obszernie wszystkie zakamarki kartelu żelaznego w Niemczech i w Polsce, oświetla nasze polskie kartele cukru, drożdży, węgla, wódek gatunkowych, poddaje krytycznej ocenie organizację przemysłu naftowego i wykazuje, o czem i bez tego wszyscy powinniśmy wiedzieć, iż — jedynym motywem działania tych zespołów jest zysk. Interesu ogólnego kto inny musi pilnować.

Wielkiemu przemysłowi w Polsce naogół dobrze się powodzi. Wyzyskał on wszystkie możli-

wości kredytowe Banku Gospodarstwa Krajowego, gwarancje skarbu; kartele mają olbrzymie przywileje: ochronę rynku wewnętrznego, premje eksportowe, ceny przymusowe na cukier, węgiel, naftę, żelazo, drożdże, często gwarancje państwa na eksportowane towary.

Z opisów prof. Tennenbauma wynika ciekawy wniosek: im rząd jest „silniejszy", bardziej dyktatorski, totalny, tem łatwiej się porozumiewa z wielkim przemysłem i tem chętniej płaci. Mussolini przejął olbrzymi portfel akcyj zbankrutowanych fabryk z *Banca comerciale*, rządy niemieckie włożyły miljardy marek w ratowanie Flicka, Stinnesa, D-banków i t. p. Krupp bardzo sobie chwali rządy Hitlera. W Polsce jest zupełnie podobnie.

Rząd polski wlazł głęboko w finansowanie przemysłu, a co gorsza w — sam przemysł. Pomijamy t. zw. przemysł wojenny. Poza nim rząd polski albo sam angażuje się w prowadzenie przedsiębiorstw np. bawełnianych, hutniczych, naftowych, azotowych, samochodowych albo — rolę tę przyjmują na siebie banki państwowe, specjalnie Bank Gospodarstwa Krajowego. Prof. Tennenbaum z nieukrywaną irytacją i przyganą opisuje historję założenia rządowej fabryki laku, pakowanie pieniędzy w „Ursusa"; przypomina mowę gen. Góreckiego, prezesa B. G. K„ na zjeździe miast o tem, że jest właśnie w trakcie układania większego planu rozbudowy gospodarczej Polski i dowodzi, że — wszystko to musi się źle skończyć.

Bank Gospodarstwa Krajowego dysponował sumą 2 miljardów złotych, Bank Rolny blisko miljardem. Zużycie tych kwot było często lekkomyślne — pieniądze te bodaj w większości są zamrożone. Trzeba się zdecydować na odpisy. Do złudzeń szkodliwych dla państwa zaliczyć trzeba te nadzieje, iż wydane już dekrety oddłużeniowe dadzą pozytywny rezultat. Są — zdaniem profesora — lękliwą, często nieudolną próbą rozwiązania wielkich problemów półśrodkiem.

Państwo polskie zajęło się jednostronnie wielkim przemysłem. Nie wielki przemysł zadecyduje jednostronnie o dobrobycie kraju.

Słusznie podnosi prof. Tennenbaum, iż kredyt w Polsce zależy niemal w zupełności od państwa. Rozrosły się ponad miarę i potrzebę banki państwowe. Banki prywatne są od rządu zależne, korzystają nawet z funduszu pomocy bankom. Kasy komunalne są poddane — zwłaszcza od wydania dekretów z października 1934 r. — wielkim wpływom starostów i wojewodów. Tak np. powiatowa kasa w Krakowie dyskontowała weksle będącego w sekwestrze Żyrardowa, inna kasa — weksle sowieckie. Mały, szary człowiek niema łatwo dostępnego kredytu. A ten szary człowiek stanowi masę narodową i istotny rdzeń narodu.

Pod koniec r. 1932 Kasy Stefczyka pożyczyły 107 milj. zł. aż 560.000 małym rolnikom. Jedna pożyczka wynosi niespełna 200 zł. B. G. Kr. ocenia maksymalną granicę pożyczki dla rzemieślnika na 2.000 zł. Na te pożyczki przeznaczył 7,5 milj. zł. Wniosek prosty wyciągnąć łatwo: państwo, upaństwowiwszy kredyt, skoncentrowawszy oszczędności w PKO i w kasach komunalnych, albo korzysta z tego kredytu samo, albo kieruje go w stronę wielkiego przemysłu. A setki tysięcy małych ludzi na wsi i w miastach usychają z głodu kredytowego.

Osobny dział w II tomie poświęcił prof. Tennenbaum budżetowi państwa i funduszom państwowym. Wiadomo wtajemniczonym, iż fundusze te przepuściły w sumie miljardy złotych, że przepłynęły przez nie co roku setki miljonów zł. Z pasją wytyka prof. Tennenbaum zamiłowanie polskich rządów do tworzenia zbędnych, często odrębnych funduszów i do — pożyczania pieniędzy. Fundusz Gospodarczy pożycza Funduszowi Mieszkaniowemu, Fundusz Inwestycyjny Funduszowi Pracy, Fundusz Pracy Ministerstwu Kolei, miastom, prywatnym przedsiębiostwom i t. d. Słusznie wzywa do oczyszczenia tej dżungli z nadmiaru i pomysłów i pieniędzy i do skupienia całej władzy nad zużyciem pieniędzy państwowych w ręku Ministra Skarbu.

Trudno jednak z tego wykładu wyciągnąć wniosek, iż Polska weszła na nową i zdrową drogę rozwoju gospodarczego. Przeciwnie — wolno nam stwierdzić, iż upaństwowienie kredytu i zaangażowanie się państwa w przemyśle wydaje złe owoce już dziś, a grozi zwyrodnieniem życia gospdarczego w przyszłości. Należy stwierdzić, iż lepiej służyły społeczeństwu, jako całości, gminne i powiatowe kasy oszczędności, gdy zaspokajały potrzeby miejscowych małych ludzi, niż dziś, gdy całą swoją gotówkę lokują w weksle sowieckie, Żyrardowa, Wspólnoty interesów lub nawet gdy kupują bony skarbowe. Wysychają źródła, z których czerpią pożywienie liczne gałęzie drobnego gospodarstwa rolnego, rzemieślniczego czy handlowego. Dyspozycja kredytem przeszła do wielkich central i służy tylko wielkim. A wielcy — jakeśmy to stwierdzili na początku — dbają przedewszystkiem o swoje interesy.

Książka prof. Tennenbauma daje niewiele rzeczy nowych. Ale opisuje całość gospodarstwa polskiego sumiennie i rzeczowo.

STANISŁAW RYMAR

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERATURY I SZTUKI

Zmarł w Krakowie w sędziwym wieku (ur. 1864) nauczyciel i znakomity poeta (z dynastji poetów tatrzańskich) Franciszek Nowicki. Krakowianin z rodu, całe życie wierny był swemu miastu, z przerwami gdy pracował we Lwowie i w Tarnowie. Dał się poznać w literaturze około r. 1883 z prozy i z umiłowania Tatr, które opisał w „Świecie" (1888). Sławę zapewniły mu poezje (1890, 1891), a zwłaszcza takie cykle sonetów tatrzańskich, jak „Obrazy pustyni", „Tragedja pustyni", w których się okazał mistrzem formy i natchnionym wizjonerem gór pustynnych. Jemu to, jak przedtem Goszczyńskiemu, a potem Tetmajerowi i Kasprowiczowi oraz Pawlikowskim zawdzięcza poezja polska to przepiękne, kultem przyrody wywołane *fata morgana* Tatr, które dziś każdy Polak ma w oczach swej duszy.

Cześć jego pamięci!

*

Zmarł w Warszawie zasłużony dla sztuki polskiej muzyk Piotr Stermich-Valcrociata. Urodzony 1868 r. w Zadarze (Zara) w Dalmacji, kształcił się w muzyce we Włoszech, poczem jako kapelmistrz, wędrował, wszędzie z pożytkiem pracując. Na początku tego stulecia znalazł się w operze lwowskiej w czasach najwyższego rozkwitu tego miasta. Tu poznał młodą śpiewaczkę Jadwigę Dębicką i wkrótce ją poślubił. Pracował też w Warszawie. Najlepiej jednak oceniono jego pracę i najdłużej zatrzymano w Poznaniu. Były to najlepsze czasy opery poznańskiej. W ostatnich latach podróżował wraz z żoną, angażowaną do pierwszorzędnych oper, występując gościnnie w charakterze kapelmistrza.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Henryk Łowmiański: „Prusy pogańskie". Rozprawa z pracy zbiorowej p. t.: „Dzieje Prus Wschodnich".

Pamiętnik Instytutu Bałtyckiego, t. XXVII, str. IV + 57 z mapką. Toruń 1935. Skład główny: Kasa im. Mianowskiego.

Autor doskonałych: „Studjów nad początkami społeczeństwa i państwa litewskiego” dał w pracy „Prusy pogańskie”, stanowiącej część składową t. I pracy zbiorowej „Dzieje Prus Wschodnich”, zwięzły zarys dziejów politycznych, ustrojowych i gospodarczych szczepu Prusów od najdawniejszych czasów do początku XIII w.

Praca, poprzedzona wstępem zawierającym charakterystykę źródeł oraz metod badawczych stosowanych przy studjach nad społeczeństwami pierwotnemi, dzieli się na dwa rozdziały. Pierwszy p. t.: „Dzieje Prus do początku XIII w.” omawia pierwotne dzieje kraju, stosunki polityczne oraz kulturalne z sąsiadami od IX do początku XIII w., rozwój i granice osadnictwa pruskiego w początku XIII w.

Rozdział drugi przedstawia te wszystkie zagadnienia, które składają się na obraz wewnętrznych stosunków u Prusów przed podbojem krzyżackim. Kolejno więc analizuje autor ustrój polityczny, społeczny, gospodarczy oraz wierzenia religijne. W zakończeniu wreszcie porusza autor doniosłe zagadnienie możliwości stworzenia przez Prusów monarchji szczepowej oraz czynniki, które temu stanęły na przeszkodzie.

Całość wywodów ilustruje doskonale mapka: „Prusy pogańskie”, zwłaszcza w odniesieniu do nazw i granic plemion, na które rozpadał się szczep Prusów. Na podkreślenie zasługują zwłaszcza wywody, dotyczące dziejów pierwotnych kraju, pochodzenia najdawniejszych mieszkańców oraz ustroju społeczno-gospodarczego, rozświetlające ciemną kwestję w dotychczasowej nauce.

ZE ŚWIATA SZTUKI

JAN CIĄGLIŃSKI

Zachęta przypomniała nam Jana Ciąglińskiego, artystę niedostatecznie u nas znanego. Od śmierci malarza upłynęło 22 lata (zmarł w 1913 roku): nietylko jednak ta przestrzeń okresu ubiegłego zatarła w naszej pamięci obraz twórczości plastyka. Ciągliński, z pochodzenia warszawiak, tu się urodził (1858 r.) i kształcił. najprzód w gimnazjum, potem na uniwersytecie warszawskim, gdzie studjował medycynę i przyrodę. W Warszawie też rozpoczął swe studja plastyczne, w szkole rysunkowej, pod kierunkiem Gersona i Kamińskiego. W styczniu 1878 r. wyjechał do Petersburga i tam już pozostał do końca życia, oddając się niepodzielnie sztuce. W Rosji był artystą cenionym, a w kraju— choć wystawiał tu również — zbyt mało, w stosunku do swojej wartości, popularnym. Oto dlaczego przypomnienie artysty ma swoje racje.

Choć w Rosji, jak wspomnieliśmy, spotkał się z uznaniem, nieodrazu zajął stanowisko w hierarchji artystycznej wysokie, Przechodził skolei wszystkie szczeble, od nagród szkolnych począwszy, zanim został członkiem rzeczywistym petersburskiej Akademji Sztuk Pięknych i jej profesorem. Jedną z tych godności przyznano mu dopiero na dwa lata przed śmiercią.

Niechże na te szczegóły zwrócą uwagę nasi młodzi artyści, ci zwłaszcza, którzy lubią narzekać, że ich sią zamało popiera. Pracownia, w której Ciągliński mieszkał i pracował, bez mała 26 lat, została mu zaofiarowana przez rosyjskiego kupca-mecenasa, niejakiego Ustinowa. Oto jeszcze jeden szczegół zasługujący na przytoczenie.

Osiadły na stałe w Petersburgu, robił Ciągliński rokrocznie wypady na Wschód i Południe. Zwiedził Kaukaz, Krym, Włochy, Hiszpanję, Konstantynopol, Marokko, Palestynę, Egipt, Grecję, Indje, Saharę, Tunis i Turkiestan. Z tych licznych podróży przywiózł około 1.000 studjów, szkiców i notatek, malowanych z natury. Ciągły kontakt z naturą, stała jej obserwacja, pozwala nam poniekąd na określenie rodzaju twórczości Ciąglińskiego. Ten plener był strawą impresjonisty. Nie odrazu stał się nim artysta.

Badając charakter jego malarstwa, trzeba sobie uświadomić, jaki wpły nań wywarło stałe przebywanie w środowisku rosyjskiem i ukończenie rosyjskiej uczelni artystycznej, uczelni o bardzo zdecydowanym typie. Obie te okoliczności do pewnego stopnia tylko zaważyły na malarstwie Ciąglińskiego. Był on charakterem do tyla żywym, niezależnym i twórczym, iż zdołał się przeciwstawić konwencjonalizmowi akademickiemu, wcześniej od innych, tak, że sami Rosjanie nazwali go pierwszym impresjonistą w Rosji.

To uniezależnienie się było cechą osobistą talentu malarza; odkrywamy w nim również pewne znamiona bardziej ogólne, polskości, których się Ciągliński, jako Polak, nie wyzbył. Tak np. artysta, w jednym z portretów kobiecych, gdzie chodziło mu o wydobycie aksamitnej czerni sukni i kapelusza, oraz w studjum półaktu, byłby, jak na impresjonistę rosyjskiego, zbyt delikatny i wytworny. Jest to impresjonizm, przeto iż polski, bardziej, w stosunku do rosyjskiego, francuski. Także mały obraz, p. t. „Wnętrze pracowni”, odbiega od typu impresjonizmu uprawianego w Rosji. Natomiast technika Ciąglińskiego jest zdecydowanie rosyjska, szeroka i zamaszysta, o wyraźnych maźnięciach grubo kładzionej farby.

Małe notatki plenerowe, dokumenty bezpośredniego kontaktu z naturą, są świadectwem rzetelności artystycznej Ciąglińskiego i jego ciągłej czujności wobec zjawisk świata widzialnego. Ten sam temat obrzydzili nam przecież nasi malujący „orjentaliści”, w rodzaju A. Styki et Compagnie.

Osobny dział w działalności malarza stanowią portrety.

WIKTOR PODOSKI

NOWE KSIĄŻKI

Moszczeńska W. i Mrozowska H. Podręcznik do nauki historji na III kl. gimn. Lwów. Ossolineum. S. 300, ilustr., mapy.

Balicki Juljusz i Maykowski Stan. Mówią wieki. Cz. III. Trzeci rok nauki jęz. polskiego w gimn. Lwów. Ossolineum. S. 496.

Balicki J. i Maykowski St. Niesiemy plon. VII rok nauki jęz. pol. w szkołach powsz. Lwów. Ossolineum. S. 448.

Bączkowski Włodzim. U źródeł upadku i wielkości. Warsz. 1935. F. Hoesick. S. 191.

Przegląd Współczesny, Wrzesień.

Wschód — Orient. Warsz. Instytut Wschodni, nr. 1—2 z r. 1935.

Przegląd Powszechny, wrzesień.

Przypominamy, iż zbliża się kwartał IV i że trzeba odnowić przedpłatę na „MYŚL NARODOWĄ”.

Każdy tanim kosztem (3 zł. miesięcznie!) może stać się współwydawcą czasopisma wartościowego, niezbędnego jako uzupełnienie dzienników.

„MYŚL NARODOWA” — pamiętajmy o tem — nie jest pismem subsydjowanem i tylko na prenumeracie byt jej się opiera.

GOSPODARKA SOWIECKA

GOSPODARKA zaiste oryginalna, niepodobna do żadnej innej na świecie. Zasady jej, w głównych zarysach, są nam naogół znane: polegają na gromadzeniu produkcji w rękach państwa, które później samo zaopatruje swych obywateli ze swych spichrzów.

Spichrze! Europejczyk, czytający gazety sowieckie, doznaje zamętu w głowie i staje nieraz wobec faktów życiowych, jakby się one działy w świecie innych wymiarów.

Nie wie sam, co począć z cyframi: czy im wierzyć, czy nie wierzyć, czy traktować je jakoś inaczej, symbolicznie...

Są cyfry, na których widok powstają włosy na głowie. N. p. suma katastrof kolejowych: za rok 1934 naliczono ich 62 tysiące; za miesiąc styczeń 1935 r. — 7 tysięcy, za luty — 5 tysięcy i t. d.

W związku z tem — tysiące ludzi zabitych, dziesiątki tysięcy rozbitych wagonów i parowozów.

Dowiadujemy się o tem z urzędowego źródła, z rozporządzenia komisarza komunikacji, Kaganowicza, z dn. 19 marca r. b. — („*Gudok*" Nr. 65, 20.III.35). Taż gazeta oblicza przeciętną dzienną ilość katastrof jednej kolei na 40—50.

Jednem słowem — koleje niedopisują. Ale czy tylko koleje? Bolączek tych w sowieckiej gospodarce jest bez liku.

Jedno ognisko zapalne wywołuje drugie i powoduje schorzenie całego organizmu państwowego.

Sprawa kolei i jej sprawności, a raczej brak tej sprawności wiąże się ściśle z transportem zboża. Gazety sowieckie pełne są wykrzykników z powodu spodziewanego wielkiego urodzaju. Istotnie, cyfrowe dane, dostarczone z południowych okręgów kraju, świadczą o wielkich plonach. W chwili obecnej żniwa są na ukończeniu, zbliżają się do północnych granic państwa.

Ze wszystkich kołchozów i sowchozów płyną tysiące wagonów dziennie, płyną po to, żeby utknąć w punktach składowych, na t. zw. „perewałkach".

Leżą tam tysiące centnarów zboża bez żadnego zabezpieczenia od deszczu i wilgoci, skutkiem czego porastają lub gniją („*Izwiestja*" Nr. 168 z 20.VII r. b.).

Zboże zanim zostanie dostarczone do składnic państwowych—marnieje i ginie jeszcze w drodze, na kolei, zsypywane wprost na ziemię, ważone bez worków, przewożone w wagonach nieoczyszczonych z węgla i niezdezynfekowanych („*Gudok*" Nr. 173, 29.VII.35).

Oprócz zboża tegorocznego, na różnych stacjach leżą worki z zeszłorocznem zbożem, leżą bez żadnego przykrycia. Gazeta „*Gudok*„ z dn. 21.VII.35 wymienia stacje, które do tej pory nie wiedzą co mają począć z tym zapasem zeszłorocznym.

Czy to wszystko ma dowodzić obfitości produkcji zbożowej, jej nadmiaru? Bynajmniej! W tym kraju rolniczym zawsze brak chleba. W r. 1932 był formalny głód. System zaopatrywania obywateli w ten niezbędny artykuł — jest niedostateczny. Chleb kartkowy był wprawdzie tani, ale co do ilości — niedostateczny, a co do jakości — dużo pozostawiał i pozostawia do życzenia. Wprawdzie od nowego roku 1935 wprowadzono sprzedaż chleba bez kartek, ale cena jego znacznie się podniosła. Zresztą chleb kartkowy nigdzie nie wystarczał, zawsze trzeba się było samemu zaopatrywać potajemnie, ze ściganego „wolnego handlu".

Dziś w wielu okolicach nic się nie zmieniło pod tym względem.

„Stan wojenny" nie przeminął jeszcze w Rosji Sowieckiej, a że jest to stan przejściowy, więc miejmy nadzieję, że z czasem wiele się zmieni i że doktryna musi ustąpić miejsca życiu i jego zdrowym wymaganiom.

Z. P.

ŚWIĘTO GÓR i KONCESJA ANGIELSKA. W „Kurjerze Warszawskim" znajdujemy taką informscję:

Uregulowano definitywnie sprawę budowy kolejki górskiej w Tatrach, długości około 40 klm. Ilość taboru przewidziana jest na 120 wagoników po 32 osoby, oraz 2 — obsługi. Główną trasą będzie Giewont — Kasprowy Wierch. Wstępne prace przygotowawcze już rozpoczęto, prace techniczne rozpoczną się wczesną wiosną roku przyszłego i potrwają około 3 lat. Naczelne kierownictwo montażu części mechanicznych powierzono inż. K. Korsakowi, projektodawcy konstrukcyjnemu, jeneralnemu przedstawicielowi w Polsce angielskiej firmy „Britisch Ropeway Engineering Co. Ltd.". Firma podjęła się dostawy lin i hamulców asynchronicznych. Wagony oraz pozostałe części mechaniczne wykonywane będą w krajowych fabrykach. Przy robotach zatrudnionych będzie około 1.000 pracowników. Części budowlano-arhitektoniczne powierzono inż. Kodelskiemu.

Do przyśpieszenia dawno projektowanych zamiarów zmechanizowania Tatr, przyczyniło się Święto Gór, na które przybyli z Londynu: naczelny dyrektor firmy B. R. E. C. L., inż. Henri Shelds, inicjator, oraz naczelny dyrektor Banku „Bencers Trust" — Londyn, p. A. Bock. Koncern finansuje całą mechanizcję, z prawem eksploatacji przez lat 25. Inż. Korsak wyjechał do Londynu celem spisania odpowiednich aktów i ustalenia ostatecznych szczegółów.

Będziemy teraz napędzać ludzi do Zakopanego, żeby Anglicy pocieszyli się po Abisynji. Kolejką tą przez nasze góry Anglicy wywozić będą pieniądze z Polski. Nie wiedzieliśmy dotąd, na czem polegało „święto gór".

NA MARGINESIE

Sentymentalne sentencje:

Mało głosów, ale za to dobre.

Dawniej mówiło się o pośle, że jest wybrany, teraz — że jest wyborowy.

Błogosławiona „mniejszość", gdy się nie ma większości.

*

Gwóźdź sezonu: Lopek — bridge — dancing — Club.

Kwartet „Salvator" z udziałem Ukraińca, żyda i Niemca (czwarty do brydża).

P. Stpiczyński (tenor bohaterski) wykona przy mandolinie pieśń poranną o pogłębianiu rewolucji.

P. Wiślicki pokaże taniec orjentalny: „Do pomaraniec, do pomaraniec".

Korona wieczoru — czarodziejskie widowisko „Święto gór czyli Drucik na Kasprowy".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.